

MIESIĘCZNIK

Nr 4
(145)
Radom
lipiec-
sierpień
2014

Cena 5 zł
(w tym 5 %
VAT)
indeks
351245



KAMIEŃ WĘGIELNY
POD POMNIK LUDZI
SKRZYWDZONYCH
W ZWIĄZKU
Z ROBOTNICZYM
PROTESTEM
25 CZERWCA 1976

PROWINCJONALNY



Na okładce:

Pomnik protestu robotniczego 1976 w Radomiu
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
(16.08.2014 r.)

Pismo społeczno-kulturalne
Nr 4 (145)
Radom, lipiec–sierpień 2014
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Redaguje zespół w składzie:

Anna Skubisz-Szymanowska – redaktor naczelna,
Agata Morgan – sekretarz redakcji,
Mariusz A. Dański, S. Zbigniew Kamieński,
Jerzy Kutkowski, Ilona Michalska-Masiarz, Barbara Pikiewicz,
Michał Płoski, Grzegorz Sasin, Anna Spółna,
Mieczysław Szewczuk, Robert Utkowski

Wydawca:

Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 360 23 67
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
<http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny>

Skład i przygotowanie do druku:

Mariusz A. Dański

Korekta: Halina Bogusz

Druk: MULTICOLOR

ul. Mikosa 19/2
26-600 Radom
e-mail: multicolor@multicolor.nazwa.pl

Materiałów niezamówionych redakcja
nie zwraca i zastrzega sobie prawo
ich skracania i redagowania.
Jednocześnie zapewniamy
integralność treści i formy
utworów literackich.

Prenumeratę
można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również
telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem
(prom.mbpradom@op.pl)

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego”
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi
za współfinansowanie wydawnictwa w 2014 roku
Biblioteka jest finansowana przez Gminę Miasta Radomia

Od redaktora

Opozycja – całe życie to działalność opozycyjna.

*Rodzimy się i zaczynamy się buntować. Przeciwno krępującym
ruchy becikom, śpioszkom, kaftanikom. Z większym lub mniej-
szym trudem udaje nam się, chociaż na krótko, z nich uwalniać.*

*Ciągle walczymy z rodzicami, nauczycielami, wychowawcami
i wszystkimi od nas starszymi. Czasem wchodzimy w koalicję
z rówieśnikami. Tylko z niektórymi, wobec pozostałych pozosta-
jemy w opozycji. Nawet jeśli uda nam się znaleźć w tak zwanym
głównym nurcie, to i tak jesteśmy w kontrze do innych nurtów.*

*I tak bez końca – studia, praca, rodzina, znajomi i niezna-
jomi, przełożeni i podwładni, różne grupy interesów osobistych
i zawodowych, prywatnych i publicznych – zawsze mniej lub
bardziej przeciw czemuś, komuś.*

*Dorastamy w opozycji do dorosłych – starzejemy się w opo-
zycji do dzieci.*

*A co z władzą? Władzę ma los. Możemy próbować z nim po-
walczyć. Nawet możemy mieć wrażenie, że zwyciężyliśmy. Na
krótko, w końcu i tak będzie, co ma być.*

*I pomyśleć, że tak niedawno opozycja była pojęciem wyłąc-
nie z dziedziny polityki.*

Anna Skubisz-Szymanowska

W numerze

FOTOREPORTAŻ	GRY ULICZNE WŁADZY I OPOZYCJI Halina Bogusz	3
SZKIC	O RADOMSKIEJ RZEźBIE POMNIKOWEJ Stanisław Zbigniew Kamieński	6
ESEJ	DRABINA (CZĘŚĆ XI) Michał Płoski	10
FELIETON	LIPIEC DUSZNY Robert Utkowski	13
PLASTYKA	USKRZYDLIĆ NIELOTA... Maciej Szańkowski	14
	SĄ TYLKO OBRAZY I MALOWANIE Lidia Ziemińska	17
	SZTUKA, CENZURA, POLITYKA I ETYKA Mieczysław Szewczuk	18
GALERIA	TRUDNO JEST RYSOWAĆ.... Andrzej Brzegowy	21
PUBLICYSTYKA	NIE UMARŁA JESZCZE UKRAINA... Wasył Słapczuk	23
	WŁADZA NAD PRZESZŁOŚCIĄ... Jerzy Stachowicz	26
KINO	WSTĘP DO TEORII POZNANIA Grzegorz Sasin	30
MUZYKA	ZMAGANIA Z BATUTĄ Krzysztof Majerczyk	33
PRO MEMORIA	HOMO VARSOVIENSIS ... Łukasz Prus	34
	ANNA DUDA Barbara Pikiewicz	36
	KAROLINA PACHOLEWICZ Stanisław Zbigniew Kamieński	39
Z KART HISTORII	INNY OBRAZ Jerzy Kutkowski	40
KRONIKA	CZERWIEC – LIPIEC 2014	43

w Galerii Prowincjonalnej
PRACE KAMILI GAŁECKIEJ



Gry uliczne władzy i opozycji
Halina Bogusz

Warszawa, Nowy Świat, 1 maja 1982?, '83? Kontrpochód 1-majowy. Idący jezdnią usiłują sformować kolumnę, zomowcy im „przeszkadzają”. Taka gra uliczna. Wygrywają ci, którzy nie dają się spałować. Pod murami i w bramach kibice – trochę starsi, ale pełnią ważną funkcję: ostrzegają i w razie zagrożenia przechowują filmy, bo milicja bezlitośnie je niszczy, często razem z aparatami. Starsze panie są przygotowane, wsuwają do kieszeni kartkę z adresem, pod którym film można odebrać. Robić zdjęcia było trudno, wychodziły nieostre, poruszone. Ale dawały świadectwo. Bałam się wtedy o męża, chociaż tylko fotografował.

Budynek sądu w Warszawie. Rejestracja pierwszej „Solidarności”, tak wyczekiwana, tłumy obiegają autokar z Wałęsą.

Fotomontaże. Na przykład szubienica dla partii narysowana na obwieszczeniu o stanie wojennym. Albo płonący transporter. Bardzo pożądane, tak samo jak samizdatowe wydawnictwa. Wyczekiwaliśmy na kuriera. Często książki czytaliśmy „na miejscu”, bo były strasznie drogie.

Ich idea – SOLIDARNOŚĆ





Łagodne
środki
perswazji



NEI BÓJ SIĘ
«WRONY»
-TO ONA BÓJ SIĘ
NAS
WAŁĘSA
WYTRWAŁ
**A
TY?**



Ręce wyciągnięte do porozumienia



GAZEM do komunizmu!



Na przejazd do Warszawy trzeba było mieć przepustkę. Któregoś razu ojciec przyjechał do nas z kwitem, na którym było napisane: z powodu choroby Pyzola. Pies koleżanki nie miał pretensji.

Powielaczowe informatory to już poważniejsza sprawa. Patrole były wyczulone na wszelkie paczki. Jak się było chudym, można było pod bandażem elastycznym przewieźć dwie ryzy „Tygodnika Mazowsze” – na plecach i brzuchu.

Nikt z moich przyjaciół nie został wyrzucony ze studiów za działalność w KOR-ze. Za nieprzystąpienie do egzaminu w wyznaczonym terminie – tak. Wpis do indeksu i zwolnienie lekarskie z Palmy nie wystarczyły. Wyznaczony termin też można było zmanipulować.

Pudło z pożytkłymi dokumentami sprzed trzydziestu kilku lat. Protezy pamięci. Ojciec, młodszy wtedy niż ja dziś, „znajdował” gazety w szatni Zakładów Metalowych. Wszyscy z mojego otoczenia myśleli tak samo. Nawet milicjant podczas rewizji „nie zauważał” stosu bibuły. Byliśmy pionkami, nie miał nas w swojej talii kart, nie musiał widzieć. Ale też dla wszystkich, i to obu stronach, stało się oczywiste – to władza była w opozycji.

Halina Bogusz

Zdjęcia pochodzą z archiwum autorki.



fot. S.Z. Kamiński

O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część trzydziesta druga) Władza, opozycja i Kościół przy kamieniu węgielnym

Stanisław Zbigniew Kamiński

Jeśli poszukiwać w Radomiu pomnika, którego przesłanie odnosi się do relacji między władzą a opozycją, najbardziej być może emocjonującej kategorii życia społecznego – wobec każdej władzy powstaje zawsze, niemal automatycznie, opozycja – to wyrazem tego odwiecznego zjawiska i towarzyszących mu napięć jest obiekt noszący nazwę pomnika protestu robotniczego 1976, na skrzyżowaniu ulic Żeromskiego i 1 Maja, w centrum miasta. Druga z wymienionych tu ulic zmieniła po transformacji ustrojowej nazwę na 25 Czerwca. Właśnie tego dnia 1976 r. rozegrały się w Radomiu wydarzenia robotniczego protestu wobec podwyżek cen żywności, wprowadzonych wtedy przez ekipę Gierka; tędy przechodzili zdeterminowani robotnicy Zakładów Metalowych „Walter”, kierując się pod siedzibę Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Pamiętamy szczypany, jakim poddany został w następstwie tego protestu Radom i jego mieszkańcy oraz tytuł nadany wówczas radomianom – warchoły; tytuł tyleż oficjalnie poniżający, urągliwy, co nieoficjalnie używany z cudzysłowem w domyśle, napawający dumą.

Radomska „Solidarność” wymusiła na władzach partyjnych zezwolenie na obchody piątej rocznicy protestu oraz wzniesienie w mieście pomnika wydarzeń czerwcowych. W 1981 r. ogłoszony został konkurs na jego projekt, na czele komitetu budowy pomnika stanął Bronisław Kawęcki, nadesłano kilkadziesiąt projektów, z których jury (w niewiadomym dziś składzie) wybrało do realizacji pracę rzeźbiarza z Warszawy Bronisława Kubicy. (Pisałem już o tym bardziej szczegółowo w trzecim numerze MP z 2011 r.) Odsłonięto wtedy pamiątkowy kamień w miejscu przyszłego pomnika, który miał stanąć rok później, ale 13 grudnia władza wprowadziła w Polsce stan wojenny, komitet rozwiązano, nadzieje na pomnik przepadły.

Kompromisowy tekst napisu na kamieniu ustalono w negocjacjach pomiędzy „Solidarnością” a partią, jednym z jego autorów był podobno ksiądz Jerzy Banaśkiewicz. Napis obwieszcza wszystkim, którzy chcą przystanąć tu na chwilę: „LUDZIOM SKRZYWDZONYM W ZWIĄZKU Z PROTESTEM ROBOTNICZYM 25 CZERWCA 1976 R.”, co odnosi się przede wszystkim do protestujących wówczas przed

siedzibą KW, potem długi czas prześladowanych – bitych, więzionych, wyrzucanych z pracy, ale też tych tłumiących manifestację – zomowców. We wnęce kamienia umieszczone zostały dwie urny z ziemią z Poznania i Gdańska, co wiązać ma symbolicznie radomskie wydarzenia z krwawymi i bestialsko stłumionymi protestami klasy robotniczej w 1956 r. w Poznaniu i w 1970 r. na terenie Trójmiasta.

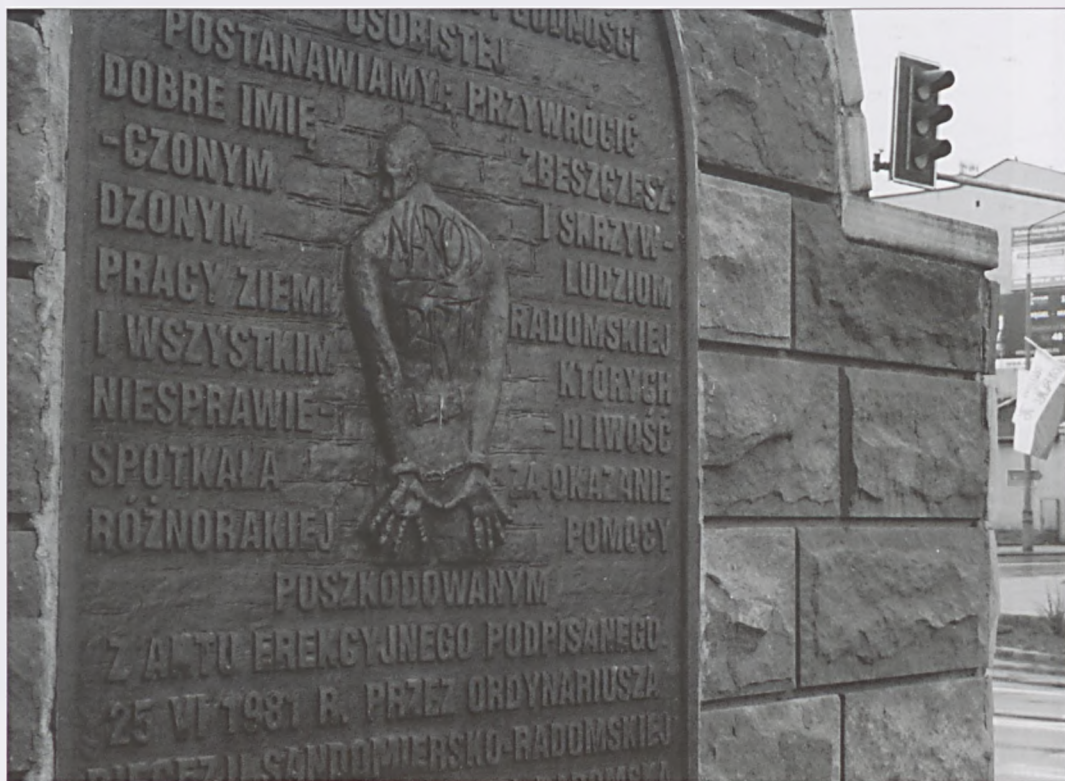
W tym roku minęła 38. rocznica Czerwca '76 i ćwierćwiecze odzyskania wolności, po wolnych częściowo wyborach do Sejmu i Senatu RP 4 czerwca 1989 r.; pamiątkowy kamień pozostaje nadal na swoim miejscu, nie zastąpił go przez ten czas żaden pomnik. W lokalnym wydaniu „Gazety Wyborczej” ukazał się pod koniec czerwca br. tekst Magdaleny Ciepeliak pod potężnym tytułem „Będzie pomnik Czerwca '76” z i nagłówkiem zaczynającym się słowami: „Andrzej Sobieraj, szef Stowarzyszenia Osób Represjonowanych i Internowanych w Stanie Wojennym, zapowiada reaktywację komitetu, który w 1981 r. chciał wybudować pomnik...”. Z tekstu dowiaduję się, że „Sobieraj [...] uważa, że pomnik powinien być gotowy za dwa lata, na 40. rocznicę wydarzeń czerwcowych. [...] że należy realizować zwycięską koncepcję Kubicy...”, zaś Mizerski pamięta o zarzutach pod adresem zwycięskiego projektu „i twierdzi, że rozmawiał wówczas z autorem, który zapowiedział, że jest skłonny projekt poprawić”. Łatwo powiedzieć. Przypomnę, co już kiedyś pisałem – projekt Bronisława Kubicy z odciskiem gąsienicy czołgu wywołuje fałszywe skojarzenia, bowiem w tłumieniu demonstracji w Radomiu władza nie użyła czołgów. Zastanawiam się tylko, co pozostałoby z projektu, gdyby autor rzeczywiście zamierzał go poprawić i usunąć odcisk gąsienicy? Powstać musiałby całkiem nowy projekt, bo ze starej koncepcji niewiele lub nic by już wówczas nie pozostało.

Być może potrzebny jest nowy konkurs na aranżację miejsca. Rozwiązanie dotychczasowe, w założeniu prowizoryczne, istnieje już tak długo (jak większość prowizorek), że radomia-

nie przywykli do niego, i bałagan, jaki wywołują zestawione ze sobą dość przypadkowo różne formy i znaki, nikomu czy niemal nikomu dziś nie wadzi. Choć i niewiele mówi.

Wracam do wątku władzy i opozycji, od którego zacząłem obecny tekst i który stanowi w pewnej mierze jego oś. Obok kamienia, pamiątkowego czy węgielnego, stoi inny, znacznie starszy obiekt zwieńczony żeliwnym ażurowym krzyżem, usytuowany w tym miejscu 150 lat temu (choć z miejsca na miejsce przestawiany). To obelisk wdzięczności za zniesienie poddaństwa chłopów, postawiony przez mieszkańców podradomskich wsi: Dzierżkowa, Gołębiowa, Woli Gołębiowskiej i Zamłynia na cześć cara Aleksandra II. Owa wdzięczność nie była wcale spontaniczna, raczej wymuszona przez lokalne władze carskie na podległej jej ludności, jednak ukazy o uwłaszczeniu włościan odegrały rolę aktu politycznego, pograżając ostatecznie upadające powstanie styczniowe – chłopcy opuszczali powstańcze oddziały i wracali do domów. Pod naciskiem rosyjskich naczelników wojennych kierowano do Petersburga wiernopoddańcze listy i prośby o ustanowienie święta w rocznicę uwłaszczenia, wznoszono też, jak w gubernialnym Radomiu, pomniki wdzięczności. Większość z nich została zniszczona po odzyskaniu niepodległości, radomski ocalał, ale dawny napis zastąpiono w 1917 r. innym, dziś już nieco zatartym, jednak ciągle jeszcze czytelnym: „»Lud wiejski pozostanie pod opieką Rządu Narodowego, ma być wolnym, a własność posiadanego gruntu przez niego nie może być włościanom odjęta« Tadeusz Kościuszko. Manifest Połaniecki z dnia 7 maja 1794 r.”. Ta deklaracja sprzed 220 lat nie miała prawie żadnego wpływu na sytuację chłopów, nabrała jednak z czasem wymiaru symbolicznego. Umieszczenie jej w tym miejscu miało uświadomić społeczeństwu, że idee równości i wolności dochodziły do głosu w naszym narodzie dużo wcześniej niż carskie ukazy o uwłaszczeniu.

Paradoks sąsiedztwa kamienia i obelisku polega na tym, że przesłanie pierwszego zosta-



fot. S.Z. Kamiński

to wymuszone przez opozycję na władzy, zaś pierwotna wymowa drugiego kryje nacisk władzy na opozycję. Trzeba dodać przy okazji, że w obu przypadkach opozycją wobec władzy była większość społeczeństwa, tak za czasów zaborów, jak i za PRL-u.

Uroczystości o charakterze religijnym, z udziałem biskupa Edwarda Materskiego, w piątą rocznicę robotniczego protestu, związane z odsłonięciem kamienia węgielnego, stanowiły pierwszą oznakę wspierania przez Kościół wolnej, niezafałszowanej narracji na temat Czerwca '76. Dziesięć lat później, w czasie czwartej pielgrzymki do Polski, modlił się tutaj papież Jan Paweł II. Tekst modlitwy papieskiej został zamieszczony na płycie usytuowanej obok kamienia węgielnego i obelisku wdzięczności dla cara. Papież wymodlił wówczas, archaizującą polszczyzną, taką prośbę: „Wszchemogący Wieczny Boże, spuść nam szczerą i głęboką miłość ku braciom i Najmilszej Matce Ojczyźnie naszej, byśmy jej i ludo-

wi Twemu, swoich pożytków zapomniawszy, mogli służyć uczciwie. Ześlij Ducha Świętego na sługi Twoje rządy kraju naszego sprawujące, by wedle woli Twojej ludem sobie powierzonym mądrze i sprawiedliwie zdołali kierować”. Potem znalazła się tam jeszcze kolejna tablica, umieszczona na jednym z trzech brązowoczerwonych murków, przy pomocy których próbowano zapanować nad bałaganem dodawanych stopniowo elementów. Owo ratunkowe rozwiązanie przestrzenne jest jednak, w moim przekonaniu, niefortunne. Tablica zawiera fragment homilii wygłoszonej przez biskupa Jana Chrapka „PODCZAS MSZY ŚWIĘTEJ SPRAWOWANEJ W TYM MIEJSCU W 25 ROCZNICĘ PROTESTU ROBOTNICZEGO CZERWIEC '76 R.”. Biskup powiedział wtedy m.in.: „Wyrażam też publicznie przekonanie, że ofiary tamtych wydarzeń zostaną ustawami zrównane z innymi bohaterami, takimi jak bohaterowie czerwcowego Poznania czy sierpniowego Wybrzeża...”. Pod spodem napis – Radom

2002, ale słowa te musiały być wypowiedziane w 2001 r., skoro wyjęte zostały z owego rocznicowego kazania do radomian.

Na innym murku po obu jego stronach umieszczone zostały dwie brązowe plakiety, jedna odnosząca się do wizyty papieża w Radomiu z Jego klęczącą postacią, druga z fragmentem tekstu „AKTU EREKCYJNEGO PODPISANEGO 25 VI 1981 PRZEZ ORDYNARIUSZA DIECEZJI SANDOMIERSKO-RADOMSKIEJ, NSZZ SOLIDARNOŚĆ ZIEMIA RADOMSKA I WŁADZE MIASTA RADOMIA”: „MAJĄC NA WZGLĘDZIE DOBRO OJCZYZNY NASZEJ ORAZ PRAWO KAŻDEGO CZŁOWIEKA DO POSZANOWANIA I GODNOŚCI OSOBISTEJ POSTANAWIAMY: PRZYWRÓCIĆ DOBRE IMIĘ ZBESZCZESZCZONYM I SKRZYWDZONYM LUDZIOM PRACY ZIEMI RADOMSKIEJ I WSZYSTKIM, KTÓRYCH NIESPRAWIEDLIWOŚĆ SPOTKAŁA ZA OKAZANIE RÓŻNORAKIEJ POMOCY POSZKODOWANYM”. Twórcą wspomnianych tu plakieta jest Andrzej Berner, rzeźbiarz z Warszawy (kolejny) – wydają się tak amatorskie, naiwne artystycznie i bezradne plastycznie, że trudno mi uwierzyć, aby ich autor był profesjonalistą.

Zdaję sobie sprawę, że zacytowałem dużo, może zbyt dużo cudzych tekstów we własnym tekście i że z tego powodu staje się on nieczytelny, bo nudny (słowa, słowa, słowa...), ale chcę uzmysłowić czytelnikom „MP” charakter tego miejsca, które zamiast stać się symbolicznym znakiem wydarzeń mających wpływ na upadek socjalizmu, pozostaje w swoim przesłaniu mało czytelne z powodu różnorodności tworzących go elementów plastycznych i mnogości napisów.

*

Dwa dni po ukazaniu się w radomskiej „Gazecie” artykułu „Będzie pomnik Czerwca '76”, pojawiła się na jej łamach kolejna relacja, poddająca w wątpliwość tamto kateryczne stwierdzenie, mówiąca o tym, kto chce, a kto nie chce pomnika w miejscu kamienia węgielnego, i jakie są argumenty tych – za i tych – przeciw, tworzących dawniej opozycję wobec peere-



fot. S.Z. Kamiński

lowskiej władzy, a dziś mówiących różnymi głosami i reprezentujących różne interesy różnych grup społecznych. Myślę, że ożywienie wokół niezrealizowanego przez 38 lat pomnika jest wynikiem zbliżających się wyborów samorządowych, w których i jedni, i drudzy chcieliby być rozpoznawalni, postrzegani przez wyborców jako aktywni działacze społeczni czy politycy o wyrazistych sylwetkach. Przekonamy się, jak będzie wyglądać ich aktywność i zaangażowanie w sprawę budowy pomnika po listopadowych wyborach, kiedy mandaty i stanowiska zostaną rozdane.

Stanisław Zbigniew Kamiński
9–15.07.2014 r.

Korzystałem z informacji zebranych w książce Davida Morgana *Konflikt pamięci. Narracja radomskiego czerwca 1976*, IPN Warszawa 2005.

Z notatnika malarza ikon

Drabina (część XI)

Michał Płoski

Błogie milczenie” – tak nazywa się ikona, która pojawiła się na przełomie XIV i XV wieku w Grecji i na Bałkanach. Stała się popularna w Rosji w XVIII i XIX w., szczególnie w kręgu staroobrzędowców, którzy interpretowali ją jako wyraz swego milczenia wobec rządzącej cerkwi. Na ikonie przedstawiony jest Chrystus pod postacią młodzieńca w szatach liturgicznych, podobnego do skrzydatego anioła. Ma dłonie skrzyżowane na piersi, a wokół głowy charakterystyczny dla tego wizerunku nimb w kształcie ośmioramiennej gwiazdy. Zapewne chodzi tu o alegorię chrześcijańskiej cnoty milczenia.

Ikona Chrystusa pod postacią anioła, a więc przed wcieleniem, ma bardzo starą tradycję, sięga bowiem pierwszych wieków. W katakumbach aleksandryjskich znajduje się wizerunek anioła Mądrości Bożej z VI w., z zachowanym napisem „Sofia – Jezus Chrystus”. Kult Mądrości Bożej, a co za tym idzie, ikonografia Chrystusa jako anioła, rozwijany jest w późniejszych wiekach.

W XIII stuleciu pojawiło się na Bałkanach przedstawienie Chrystusa zainspirowane proctwami Malachiasza i Izajasza, w których mowa jest o Aniele Przymierza (ML 3,1) i Aniele Wielkiej Rady (grecki przekład LXX Iz).

Najstarszym przedstawieniem Sofii – Mądrości Bożej na ziemiach ruskich jest ikona nowogrodzka, pochodząca z połowy XI w., zapewne wzorowana na ikonie ze słynnej świątyni Mądrości Bożej w Konstantynopolu. O. Paweł Florenski omawia w swym eseju skomplikowaną symbolikę ikony nowogrodzkiej, która stanowiła pierwowzór dla późniejszych przedstawień Chrystusa jako anioła¹.

Aż do XV w. nie malowano Trójcy Świętej. Znała była jedynie ikona przedstawiająca Abrahama

i Sarę goszczących aniołów. Dopiero Andriej Rublow usunął postacie patriarchy i jego żony i stworzył ikonę Trójcy Świętej, zbliżając się do tego, co niewyraźne. Sobór Stu Rozdziałów (tzw. Stogław) w 1551 r. uznał dzieło Rublowa za kanoniczne i wzorcowe. Ta pełna ciszy i pokoju ikona stała się najbardziej znanym przedstawieniem Osób Bożych jako aniołów. Niektórzy malarze umieszczali krzyż na nimbie środkowego anioła, identyfikując go w ten sposób z Chrystusem. Prawosławne sunody uznawały to za błąd, twierdząc że ikona symbolicznie przedstawia relacje współistotnych osób, a nie same osoby. Z czasem wizerunki skrzydatego Pana Jezusa stawały się coraz rzadsze i niemal zanikły we współczesnej ikonografii.

Podstawą teologii ikony jest tajemnica wcielenia. Możemy namalować nieopisywalnego Boga tylko dzięki temu, że Syn Boży stał się człowiekiem. Można by zatem powiedzieć, że jedyną właściwą ikoną Boga jest przedstawienie Chrystusa jako człowieka. Na początku II w. św. Ignacy Antiocheński pisał: „Bóg jest jeden i objawił się nam przez Jezusa Chrystusa, swojego Syna. On to jest Jego Słowem wychodzącym z milczenia”². Można by dodać – Jego świętym obliczem wychodzącym z nieprzedstawialnego. Może więc należałoby zachować więcej powściągliwości w wypowiedziach malarzkich, w świętej ikonografii? Profesor Jerzy Nowosielski sugerował, aby byty subtelne, anioły, przedstawiać za pomocą form abstrakcyjnych. Może właśnie abstrakcja byłaby właściwą formą ikony Chrystusa przed momentem jego narodzin w grocie betlejemskiej? Sztuka abstrakcyjna niewątpliwie prowadzi nas ku milczeniu; jest lekarstwem na nadmiar przekazywanych nam treści.

² św. Ignacy Antiocheński, „Do Kościoła w Magnezji”, VIII, 2, [w:] *Biblioteka Ojców Kościoła*, t. 10, s. 122; Kraków 2010, Wyd. M.

¹ o. Paweł Florenski, *Ikonaostas i inne szkice*, tłum. Zb. Podgórzec, Warszawa 1984, PAX, s. 43–68.



XI rozdział *Drabiny Raju* nosi tytuł „O wielomówności i milczeniu”. Mamy tu najpierw długą listę grzechów i ludzkich słabości, wynikających z wielomówności; następnie zaś dowiadujemy się, ile dobra może przynieść milczenie. Jest ono: „matką modlitwy, powrotem z niewoli, zachowaniem ognia...”³. W tekstach św. Jana Klimaka znajdujemy wiele pięknych aforyzmów. Przytoczę tu niektóre z nich: „Kto poznał swoje przewinienia, ten panuje nad językiem, a gadatliwy nie poznał jeszcze siebie jak trzeba”⁴.

„Milczenie Jezusa zawstydziło Piłata; i człowiek poprzez milczenie niweczy zarozumiałstwo”⁵.

„Nie zda się na wiele powstrzymywać wodę bez grobli, ale o wiele trudniej ujarzmić nieumiarkowane usta”⁶.

Rozdział jest krótki, Klimak stwierdza: „Co do mnie, nie chcę dużo o tym pisać, choć podstępność tych namiętności [chodzi o wielomówność – MP] skłania mnie do pisania”⁷. Wyznam, że „podstępność tych namiętności” skłania i mnie zbyt często do nadmiernego mówienia i pisania. Powiesiłem więc sobie na ścianie fotografię osiołka, aby mi przypominała jeden z apoftegmatów ojców pustyni. Otóż bracia wybrali się do abby Antoniego. Podróżowali łodzią, w której spotkali starca płynącego także do Antoniego. Bracia w drodze rozprawiali, starzec milczał. Gdy dotarli na miejsce, Antoni zapytał go, czy dobrych towarzyszy miał w drodze. Starzec odpowiedział: „Dobrzy to oni są, ale ich zagroda nie ma bramy, i każdy, kto zechce, wchodzi do stajni i odwiązuje osła”. Miał na myśli mówienie wszystkiego, co ślina na język przyniesie”⁸.

Często brak milczenia uniemożliwia proste odczucie obecności Boga, który przecież pragnie rozjaśnić życie każdego człowieka światłem swojej miłości. Istnieje też szczególny przypa-

dek pobożnej gadatliwości, kiedy nieustannie próbuje się mówić do Boga, recytując kolejne modlitwy. Arcybiskup Antoni Bloom opowiada o staruszce, która skarżyła się, że nigdy nie było jej dane doświadczyć obecności Bożej, chociaż się dużo modli. Ojciec Antoni zauważył, że być może nie daje Bogu dojść do słowa. Powiedział: „Daj mu szansę. Zamilknij”. Poradził jej, aby usiadła wygodnie w swoim pokoiku, tak, aby mogła ogarnąć wzrokiem całe uporządkowane wnętrze, okno otwarte na ogród i kącik z ikonami. „Kiedy się tak usadowisz – powiedział – odpocznij kwadrans w obecności Bożej, ale uważaj, nie odmawiaj żadnych modlitw. Pozostań tak, wyciszona i oderwana od codziennych spraw jak tylko potrafisz, a jeśli nie możesz się obejść bez jakiegokolwiek pracy, to rób na drutach przed obliczem Pana”⁹.

Przepisuję tę radę świątobliwego prawosławnego duchownego. Może się przyda nie tylko starszym ludziom, ale także i tym, którzy w nadmiarze korzystają z rozmaitych elektronicznych udogodnień. Może zechcą je na chwilę wyłączyć, popatrzeć na kwiaty wazonie lub widoczny przez okno skrawek błękitnego nieba.

Michał Płoski

Lipiec duszny

Robert Utkowski

Lipiec nas zaskoczył, duszny lipiec. Bociany miały po troje, czworo młodych, dużo, zazwyczaj jest dwoje, w słabych czasach jedno. Teraz w gniazdach na trasie Radom–Brzozza trzy to norma, zdarzało się, że i pięć. Podobno bociany są w stanie przewidzieć, jakie będzie lato, czy dadzą radę wykarmić młode. I ta wiedza mówi im, czy mogą mieć dwa, trzy czy więcej piskląt. W tym roku przewidywały obfitość żab, dżdżownic, jaszczurek, ślimaków, koników polnych, myszy i kretów.

Rzeka wylała. Zazwyczaj płytka i senna, pod koniec lipca pokazała swoje dzikie oblicze. Zebrała wszystko z wsi, miasteczek i miast i wcisnęła w swoje wąskie koryto. Nie dała rady, rozlała się po przybrzeżnych polach i łąkach, na których tłoczyły się żaby, jaszczurki i myszy, karmiąc bociany, żeby miały siłę nosić dzieci, znajdowane w jaskiniach i na polach z kapustą.

Rok obfity w dżdżownice oznacza następną wiosnę obfitą w noworodki. Boćki polecą na swoje zimowiska, 530 tysięcy ptaków przeleci nad cieśniną Bosfor i dalej, doliną Nilu. Wylądują na sawannach Afryki. Skąpią w gorących promieniach afrykańskiego słońca. Przeczekają polską jesień i zimę, porę depresji, rozmów z duchami, wspomnień, wódki, powstań. I wrócą, odnajdując bez pomocy map Google swoje gniazda. Wrócą, niosąc swoim gospodarzom dzieci. Jak gospodarz młody i w pełni sił, to i się ucieszy. Jak nie – to nie. Czasem bociek gniazda pomyli, sąsiadce dziecko podrzuci. Nieistotne, bo ważne jest to, żeby narodu przybywało. I żeby w większości byli to chłopcy.

W większości od kilku lat rodzą się chłopcy. Tak mówią statystyki. A statystyka, statystycznie rzecz biorąc, nie może się mylić. Obiektywna. Opiera się na faktach. Na prostych danych liczbowych. Proste dane liczbowe mówią, że ogólnie przyrost idzie w górę i ogólnie więcej jest chłopców.

Starzy ludzie mówią, że będzie wojna. I wykupują cukier.

Dwa lata temu zaczęła się budowa mostu w Solcu nad Wisłą. Dwa lata temu pisałem, że są być może miasta, które nie powinny mieć mostów. Takie przekleństwo, taka karma. Taki Solec. Jak barometr sytuacji politycznej w regionie. Dla Solca most to spełnienie marzeń, złapanie pana Boga za nogi, przekroczenie granicy krainy wiecznej szczęśliwości i dobrobytu, coś jak ogórki konserwowe po złoty pięćdziesiąt słoik i papierosy bez akcyzy. Dla Solca. Ale czy dla reszty Europy też? Tu odpowiedź już tak łatwa nie jest, a na pewno nie jest tak optymistyczna. Ogórki drożają, państwo zaczyna zwalczać nałóg, ratując przy okazji fatalną sytuację budżetu (a może odwrotnie: ratuje budżet, przy okazji zwalczając nałóg) i wprowadza akcyzę. Przed I wojną światową wybudowali most w Solcu. Przyszła wojna, i po moście. W lipcu 1939 r. odbudowany most w Solcu został oddany do użytku. We wrześniu most trzeba było zburzyć. Nowy most ma być gotowy pod koniec 2014 r.

Starzy ludzie wykupują kaszę i makaron.

Nie zaskakuje was zwiększona liczba reklam promujących oszczędzanie? Trzy procent tu, półtora tam, lokaty takie i owakie? Ludzie nie oszczędzają. No, inaczej może: oszczędzają, ale nie w bankach. Bo gdyby tak, nie daj Boże, coś się stało... To lepiej mieć te kilka czy kilkanaście tysięcy pod ręką, niż próbować je wyciągnąć z banku. A bo to wiadomo, w czyich rękach taki bank będzie, wiadomo, czy wypłaci? Państwo też z kultury zabrało, więcej kasy podsypało armii, niech się zbroi. Zwłaszcza na wschodzie. Może i słusznie. Może trzeba było tak wcześniej. Z tym wschodem zawsze coś nie tak. No i jakoś tam niespokojnie.

Starzy ludzie wykupują kawę.

W takie czy inne teorie można wierzyć lub nie. Każdy robi po swojemu, każdy ma swoją rację. Ja tam wiem. Coś wisi w powietrzu, bo starzy ludzie wykupują cukier, kaszę i kawę.

A górale od trzech lat zbierają chrust. Idzie ostra zima.

³ św. Jan Klimak: *Drabina raju*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, Wyd. M. Derewiecki, s. 186, 187.

⁴ Jak wyżej.

⁵ Jak wyżej.

⁶ Jak wyżej.

⁷ Jak wyżej.

⁸ *Pierwsza Księga Starców. Gerentikon*, tłum. M. Borkowska, Kraków 1992, Wyd. M, s. 61.

⁹ Antoni Bloom, *Odważa modlitwy*, tłum. E. Wolicka, Poznań 1987, Wyd. „W drodze”, s. 45.

Z notatnika, 2014

Uskrzydlić niełota. Kilka myśli na temat Memoriału Wolnego Słowa

Maciej Szańkowski

Jak w formie rzeźbiarskiej wyrazić poetycko wolne słowo i w wolnej Polsce upamiętnić historyczny moment likwidacji cenzury (Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk)?

W Warszawie przed dawną siedzibą centrali cenzury oraz w pobliżu dawnego Komitetu Centralnego PZPR powstał właśnie pomnik nazwany dumnie „Memoriałem Wolnego Słowa”, odsłonięty w ramach obchodów 25-lecia pierwszych częściowo wolnych wyborów w 1989 r. Zastanawiam się, skąd taka nieco pretensjonalna nazwa – memoriał? Może w celu uniknięcia niepokojących skojarzeń z pomnikiem – pojęciem kojarzonym z poprzednim ustrojem i przez to podejrzanym? A może właśnie po to, aby nadać monumentalność pojęciu i nie mieszać w to „szalonej” sztuki, niekochanej, nierozumianej, nieakceptowanej, już nawet chyba wrogiej?

I tak oto w wyniku rozstrzygnięcia konkursu mamy memoriał „odkrywczey”, odważnej myśli inżynierskiej, stechniczowanej ubogiej wyobraźni, ograniczonej do narysowania

rozległej czarnej krechy, jakby chodnikowego pasa, wzdłuż miejskiego pasaży słynnej uliczki Mysiej w Warszawie. Ten wykreślony precyzyjnie inżyniersko czarny pas (w domyśle krecha – cenzora) kończy się lub może właśnie zaczyna unoszącym się w górę, nieco zwichrowanym wykrętasek na wysokości 3 m (jak sugerował i pozwalał szczegółowy regulamin konkursu). Prosta więc myśl – gruby mazak cenzora zagrażający wolnemu słowu, na przestrzeni kilkudziesięciu metrów zostawił ślad swego ponurego działania i wzleciał... Oto cała zawarta w dziele metafora. Jak donoszą media, memoriał stał się natychmiast ulubionym torem akrobatycznych ćwiczeń deskorolkarzy... Rzeczywiście, trudno się dziwić, bo zaprojektowany jakby właśnie z myślą o nich – młodych zapaleńcach deski na rolkach.

Gdyby tu wznieść do nieba choćby monumentalne nożyce cenzora, to zaistniałyby chyba jakoś lepiej w przestrzeni miejskiej, choć pewnie w swej niejednoznaczności mogłyby być odczytywane również jako hołd oddany krawiectwu. A tak, jakies to jednak wtór-



ne i mało odkrywcze. Częścią memoriału jest także kilkanaście klocków – granitowych prostopadłościanów rozrzuconych chaotycznie wzdłuż i wokół czarnego pasa – i wysoka szklana tablica informująca szczegółowo jak „odczytać” ten w pełni z informatyzowany memoriał (na kamiennych kubikach umieszczono coraz popularniejsze kody QR, po zeskanowaniu pozwalające na odczytywanie treści ze stron internetowych). W ten sposób można zaznajomić się z licznymi treściami, którym poświęcono ów monument.

Postać, jaką przybrał memoriał, zawiera pozory ambitnej sztuki „environments”, jednak są to tylko pozory.

Mój głos jest próbą upomnienia się o niezamykanie drogi dla nieco bardziej ambitnej sztuki w przestrzeni publicznej. Sztuki i wszelkiej twórczości, która od zarania cywilizacji pojawiała się najczęściej w przestrzeni społecznej w postaci objawień jaskiń Lascaux i Altamiry, alei sfinksów, tajemniczych nierozpoznanych do końca obiektów sztuki dawnych cywilizacji, przydrożnych krzyży i wszelkich świątyń, fontann i ogrodów. Taka sztuka przetrwała całe wieki, aby żyć nadal, poruszać wyobraźnię, tworzyć dziedzictwo kulturowe.

Dzieła sztuki nazywane umownie „pomnikami”, musiały spełnić podstawowy warunek, aby mogły zaistnieć i przetrwać – musiały posiadać ducha, także czasem ducha poezji zawartego w metaforze zapewniającej ważną dla kultury trwałość materialną. Takie dzieła przetrwały do naszych dni bez względu na ulotne czasem treści, dzięki pewnej mocy, jaką im nadano.

We współczesnej Polsce świat sztuki w przestrzeni publicznej zdominowany został przez obserwowaną powszechnie tandetę, także rzeźbiarską, widoczną nawet w tych jakże licznych anachronicznych nieco „pomnikach”, jedno- i wielopostaciowych, często nieudolnych, a także w przeróżnych bibelotach o cechach monumentów oraz w rozwiązaniach inżynierskich coraz częściej starających się pełnić obowiązki sztuki wysokiej. Powierzchowne

zapatrzanie i płytka odwaga to cechy łatwej sztuki. Pojawiają się jakieś posthansenowskie „odkrycia” irytujące zwłaszcza dla kogoś, kto jako dawny wdzięczny uczeń pamięta profesora Oskara Hansena. Bo też Hansen – architekt i artysta, wielki utopista – w całym swym zawodowym życiu niepoprawny marzyciel, poeta przestrzeni, propagator „formy otwartej”, niewątpliwie wciąż zasługuje na pamięć, jednak opisana wyżej czarna krecha w towarzystwie jakby naśladowczych kubików – to w mojej opinii niezamierzona karykatura jego myśli.

Przestrzeń społeczna straszy nas dziś swym zdehumanizowaniem wizualnym i wymaga więcej uwagi niż kolejny pospiesznie zorganizowany konkurs, którego regulamin mógł skutecznie odstraszyć wielu artystów, stając się przez pewien czas przedmiotem żartów.

Regulamin konkursu ogłoszonego przez Komitet Budowy Memoriału Wolnego Słowa otwierała niezwykła myśl: „udział w konkursie jest dobrowolny” – co mogło zniechęcić nawet najbardziej zapalonych twórców. Jak widać, nie zniechęciło jednak niektórych. W regulaminie znalazła się również kuriozalna uwaga, że „organizator będzie mógł powierzyć opracowanie, zmianę lub przystosowanie pracy konkursowej innemu autorowi architektowi w przypadku niezawarcia umowy [...]! Ten i parę innych zapisów nieszanujących praw autorskich twórców skutecznie wyeliminowało sztukę z tego „ambitnego” przedsięwzięcia.

Ten tekst nie jest wynikiem mojego chwilowego estetycznego rozczarowania. To coś więcej.

Wiele lat mego zawodowego życia, także w gronie wybitnych przyjaciół zajmujących się sztuką w przestrzeni społecznej, upoważniają mnie, jak myślę, do zabrania dziś głosu.

Maciej Szańkowski



Są tylko obrazy i malowanie

Lidia Ziemińska

fot. S.Z. Kamiński

40 lat pracy twórczej Leszka Kwiatkowskiego stało się okazją, aby na otwarciu w czerwcu wystawie oglądać prace artysty z ostatnich czterech lat.

Leszek Kwiatkowski, ur. 30 kwietnia 1949 r. W latach 1969–1974 studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych (obecnie Uniwersytet Artystyczny) w Poznaniu na Wydziale Malarstwa i Grafiki. 8 czerwca 1974 r. uzyskał dyplom w pracowni malarstwa prof. Eustachego Wasilkowskiego. W latach 1977–88 r. był członkiem radomskiej grupy artystycznej M-5, a także przez niedługi czas grupy Świat. Współzałożyciel Galerii 37'2. Od 1991 r. pracuje jako nauczyciel rysunku i malarstwa w Zespole Szkół Plastycznych im. Józefa Brandta w Radomiu. W latach 1974–1992 r. pracował w Klubie MPiK, następnie w MCKiLM, od 2009 r. w „Łaźni” – Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii. Zajmuje się malarstwem i rysunkiem.

Tak sam autor komentuje ostatni okres swojej pracy artystycznej: „Mniej więcej w 2010 roku przyszedł czas malowania, o którym marzyłem od wielu lat... Pojawiają się spostrzeżenia i wyobrażenia, a moją rolą jest ich wizu-

alizacja na papierze. Zanurzam pędzel w farbie i maluję. Nie oceniam, nie segreguję – nic z wyrachowania. Czysta intuicja. Wszystko to, co mnie ograniczało – oczekiwanie na akceptację, na sukces, na pieniądze – przestało istnieć. Są tylko obrazy i malowanie”.

Na wystawie mogliśmy oglądać 60 prac na papierze malowanych z wielką pasją i z dużą swobodą, w sposób gwałtowny i ekspresyjny. Wiele z nich nie ma tytułów – zostawiają widzowi dużą wolną przestrzeń dla odniesień, asocjacji i pole dla wyobraźni. Prace, zarówno figuralne, jak i czysto abstrakcyjne, podzielone są na kilka cykli. W tej pierwszej grupie możemy wyróżnić prace z przedstawieniami kobiet, z twarzami; twarze niejako zwielokrotnione z motywem powtarzających się oczu, martwe natury i cykl prac z gawronami. Większość prac figuralnych ma kompozycję dynamiczną. Ucięte formy podkreślają dramatyzm sytuacji, czy to w przedstawieniach kobiet, czy to w obrazach ogromnych ptaszysk. Artysta często wykorzystuje kontrasty: formy, koloru i materii. Tak jest w przypadku kobiety w czerni, jak i kobiet w czerwieni czy zieleni, gdzie raz elemen-

tem dominującym jest ubranie, a gdzie indziej mamy kontrast samego ciała, jasnej karnacji i otoczenia. W postaciach kobiet nie pojawiają się w całości ich głowy. Artysta ucina je kompozycyjnie nad ustami (które stanowią często kolorystyczny akcent) i sprowadza w ten sposób kobiece ciało do roli erotycznego fetysza. Równie ciekawe jak przedstawienia kobiet są obrazy z motywem ptaków. Dobitnie zauważona forma czarnych ptaszysk kontrastuje z zimowym tłem. Wyolbrzymione gawrony zdają się zwiastować coś złowrogiego, jeden z nich nadciąga jak czarna chmura, zasłona albo kurtyna, inny przypomina praptaka albo jakiegoś mitycznego gada.

Portrety są znacznie łagodniejsze, ich forma, choć też ekspresyjna, jest bardziej powściągliwa w wyrazie. Moim ulubionym portretem stał się portret w czerwieni, w którym kompozycja jest oparta na granicy ust, oko wraz z łukiem brwi wychodzi ekspresyjnie poza twarz, a linia nosa to duża smuga światła. Portretami zwielokrotnionymi nazwałam prace, w których występuje motyw powtarzających się oczu. Forma tych prac jest rozdrobniona, składa się z wielu zagmatwanych, nakładających się na siebie linii i plam i zbliża się już do prac abstrakcyjnych.

Zapiski muzealnika

Sztuka, cenzura, polityka i etyka

Mieczysław Szewczuk

Te prace, tworzące w kolekcji Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu odrębny wątek, pokazywaliśmy na kilku wystawach. W 2009 r. w Bydgoszczy, na 20-lecie wolnej Polski, pt. „W drodze do wolności” (to była największa z tych wystaw, 130 dzieł na powierzchni ponad 1800 m kw.); w Radomiu w 2011, z okazji jubileuszu 20-lecia Muzeum Sztuki Współczesnej, pt. „Polityka i etyka”. Za-

Z kolei martwe natury to bardziej ascetyczne kompozycje, nawiązujące do wielowiekowej tradycji tego gatunku. Jego *still life* składa się zaledwie z paru drobiazgów: samotnego talerza, pary sztućców, blatu stołu, popielniczki bądź z paru krzesel, blatu i łyżeczki bądź kubka. Tu też pojawiają się kompozycje dynamiczne, charakterystyczne dla artysty. Czasami po samotny kubek sięga czyjaś (kobiece) ręka, i gdy człowiek wkracza w ten cichy, spokojny świat przedmiotów, kompozycja staje się dramatyczna, pulsująca, a forma nie do końca określona.

Abstrakcje zbudowane są z zagęszczających się struktur materii. Swobodne, szerokie pociągnięcia pędzla nadają im jednak lekkość. Wśród wielu na wystawie moją uwagę zwróciły prace, w których doszukać się można inspiracji pismem odręcznym, nawiązujące do stylizyki takich artystów jak Franza Kline czy Hans Hartung. Mają żywiołowy charakter.

Lidia Ziemińska

„Czterdziestolecie pracy twórczej Leszka Kwiatkowskiego” – „Łaźnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria, ul. Traugutta 31/33. 13.06–4.07.2014 r.

wsze wprowadzając nowe dzieła, zmieniając układ, główne tematy, inaczej budując narrację. Teraz, w 2014, na 25-lecie, mogliśmy pokazać ją na niewielkiej powierzchni, tylko fragment, pt. „Sztuka w Polsce około roku 1989”. Ale – powtarzam – w dużym stopniu właśnie **ten wątek kolekcji** decyduje o odmienności, wyjątkowości radomskich zbiorów sztuki współczesnej.

Pisałem o niej wielokrotnie, tu chciałbym przypomnieć początki, jak to się stało, że powstała w Radomiu kolekcja dzieł sztuki, w których twórcy mówili w epoce PRL-u o potrzebie prawdy, zadawali władzy pytania... Z powagą albo drwiąc. Chcę też przypomnieć radomianom, w jaki sposób te dzieła wiążą się z historią miasta.

Wystawa Zbyluta Grzywacza

Początek historii. W roku 1978 zacząłem współpracować ze szkolnym kolegą, Zbyszkiem Kamińskim, przy organizacji wystawy polskiego rysunku współczesnego w Muzeum im. K. Pułaskiego w Warce. Zaproponował: zorganizujemy cykl wystaw prezentujących w Radomiu wybitnych polskich artystów. Miejsce: galeria radomskiego KMPiK-u przy ul. Traugutta. Żeby odróżnić nasze wystawy – odrębną nazwą galerii: Galeria 37,2. Wśród zaplanowanych jako jedna z pierwszych miała być wystawa Zbyluta Grzywacza – okazało się, że jest zapis cenzorski i wystawy nie będzie.

Jako pierwszą otworzyliśmy w 1979 r. wystawę innego członka grupy Wprost Jacka Waltośia; w tym samym roku zorganizowałem w Muzeum Okręgowym w Radomiu wielką wystawę pt. „Z radomskich wystaw artystycznych 1945–1979”; w maju 1980 r., też w muzeum w Radomiu, zorganizowaliśmy wspólnie z Kamińskim wielką wystawę rysunku pt. „Rysunki i komentarze”. A wystawę Grzywacza w Galerii 37,2 pokazaliśmy w grudniu 1980 r. (Po Sierpniu otrzymaliśmy z cenzury informację, że zapis cofnięto).

Na spotkanie z Grzywaczem przyjechał Jerzy Skolimowski (wybrać obrazy do filmu). Był tłum, dyskusja ze Skolimowskim... Do zbiorów radomskiego muzeum kupiliśmy wtedy jeden z najostrzejszych politycznie kpiarskich obrazów, „Porwanie Europy II” z cyklu „Wołowy” (1977, z nagą kobietą porywaną przez tuszę wołową, w tle szara kolejka do sklepu mięsnego – problemu braku mięsa i kolejek przed sklepami – nocą – władze nie mogły ukryć, ale...). Potem też „Odwróconą” z cyklu „Lalki” z 1973 r. (pierwszy raz komisja muzealna nie zatwierdziła – „zbyt dramatyczny”).

Decyzje dyrektora Tomasza Palacza

Po raz kolejny ostrze cenzury – w obszarze naszych działań – zobaczyłem w stanie wojennym. Dyrektor muzeum Tomasz Palacz, który odważnie wspierał zakupy dzieł z tego nurtu, zdecydował, że coś z tych zakupów pokaże w muzealnej ekspozycji. Kupowaliśmy do zbiorów na początku lat 80. wiele, najwięcej prac Edwarda Dwurnika. Zestaw rysunków, w których notował wydarzenia w Polsce od sierpnia 1980 do wiosny 1982, także dwa obrazy dużego formatu (250 x 410 cm). Pierwszy, „Iluminacja” z 1980, malowany przed Sierpniem (metafora sytuacji: plac współczesnego miasta nocą, oświetlony, na nim krzyże, ukrzyżowanych pilnują psy). Drugi – „Bogurodzica”, malowany w listopadzie i grudniu 1981 r. – zapis tamtej chwili, tu na wprost widza idzie tłum śpiewający pieśń. Zakup otwierającego teraz wystawę obrazu Dwurnika pt. „Radom, czerwiec ’76”, z 1978 r. (niemal groteskowa wizja radomskich wydarzeń), muzealna komisja zakupów zatwierdziła 14 grudnia 1981 r., w drugim dniu stanu wojennego (!).

Kiedy niektóre z tych dzieł dyrektor zdecydował umieścić w ekspozycji, rzeźbę Jerzego Beresia „Ołtarz prawdy” (z 1975 r.) zdjęła cenzorka (tłumaczono mi później, że „prawda” to jedno z najbardziej niecenzuralnych słów), a „Bogurodzicę” – wicewojewoda (po awanturach, na polecenie Komitetu Wojewódzkiego). W konsekwencji dyrektor został usunięty ze stanowiska.

Wystawy w rocznicę Radomskiego Czerwca

Pierwszą wystawą, na której mogliśmy pokazać zestaw prac z tego nurtu, zorganizowałem w 1991 r., w 15. rocznicę radomskich protestów. (Część ułożoną z dokumentów przygotowali Bronisław Kawęcki i Zbigniew Skuza). To było święto, obecni byli niedawni opozycjoniści, teraz politycy, historycy, przedstawiciele ambasady amerykańskiej... Po raz pierwszy wielką kolekcję pokazaliśmy w Radomiu w 2006 r. w Muzeum Sztuki Współczesnej, w 30. rocznicę Czerwca ’76 – „Sztuka w Polsce wobec spraw publicznych 1966–1994”.

Z protestem radomskim wiązą się trzy ważne dzieła w zbiorach: wspomniany obraz Dwurnika, rzeźba Jerzego Beresia „Wahadło” z 1976 r. i Macieja Szańkowskiego „Powiew”, projekt pomnika Radomskiego Czerwca z 1981 r. To model „bramy wolności”, w której wiatr na chwilę uniósł ciężką kurtynę. Ustawiona w Radomiu „brama” ukazywałaby miejsce wydarzeń radomskich i miasta w XX-wiecznej historii Polski. Byłaby jednym z symboli miasta. Ważni są twórcy, którzy szukali formy, by mówić o etyce, ideach wolności i solidarności. Te idee są zawsze aktualne – ich dzieła zyskały uniwersalny sens.

Sztuka około roku 1989, czyli z lat 80. i 90., do dziś

Wystawa „Sztuka w Polsce około roku 1989” została otwarta 4 czerwca 2014 r. – w 25. rocznicę pierwszych (niemal) wolnych wyborów. Radomskie Muzeum Sztuki Współczesnej zwraca na tę rocznicę szczególną uwagę. Powołane zostało jako oddział Muzeum Okręgowego w końcu 1990 r., w okresie transformacji, przez pierwszego solidarnościowego wojewodę... przy poparciu nowego Ministerstwa Kultury, które sfinansowało zakup kilku ważnych obrazów dla nowej placówki. W tym dwa nowe obrazy członków Grupy – Marka Sobczyka i Ryszarda Woźniaka (być może najlepszy obraz tego autora). Oba duże (186 x 300, 200 x 340), oba z 1988 r. Inne ważne i znakomite dzieła z tego czasu podarowali zaprzyjaźnieni twórcy. Obrazy – Grzegorz Bednarski, Tadeusz Boruta, Zdzisław Nitka i Aldona Mickiewicz, a rzeźby – Sylwester Ambroziak. Jedną z jego dużych figuralnych rzeźb (wysokość ponad 2 m) to „Kain i Abel” z 1994 r. Temat zabójstwa, odpowiedzialności za zbrodnie pojawia się w zadawanych sobie i innym pytaniach, w wielu pracach. Edward Dwurnik podarował muzeum osiem obrazów z cyklu „Od Grudnia do Czerwca” z lat 1990–94, cyklu poświęconego 93 osobom zabitym w latach 80.

Tragizm, śmiech i refleksje

W ostatniej części tegorocznej wystawy są dzieła pointujące tę opowieść – o Polakach i Polsce, wolności i pamięci; w jednych jest tragizm, inne wywołują uśmiech. Tragizm – w pięciu obrazach Dwurnika z cyklu „Od Grudnia do Czerwca”; każdy obraz przypomina jedną z osób zabitych (ja opowiadałem zawsze o 33-letnim nauczycielu ze szkoły w podkarskiej wsi, Zabierzowie Bocheńskim..., któremu Dwurnik namalował jako znak pamięci i hołdu kwitnącą pokrzywę, żeby – sarkazmem – zwrócić uwagę na tragiczną i bezsensowną śmierć).

W ostatniej części śmieszą żarty Jerzego Medyńskiego (np. „Polskie pomyłone. Prawa znaczy Lewa” z 1988 r.) i postać „Polskiego Ubermenscha” – rzeźba Sylwestra Ambroziaka z 1989 r. Zamykają narrację dwa obrazy: Pawła Susida z tekstem: „a znów dziś wydaje się, że rewolucje acz przykre były konieczne”, na drugim Jacek Sroka, autor, powtórzył kilka razy na transparentach: „POLSKA”. Jacek Sroka, wyjaśniając – na moją prośbę – swój obraz „Polska” z 2001 r. zamykający wystawę, tak zakończył dłuższy tekst: „Pojedynczy człowiek.... Sztuka jest zawsze polityczna, bo przypomina rządzącym, że społeczeństwo składa się z jednostek”.

Mieczysław Szewczuk



**Trudno jest rysować.
Wielki jest trud rysowania**
Andrzej Brzegowy

GALERIA PROWINCJONALNA
Kurator
Stanisław Zbigniew Kamiński

foto. S.Z. Kamiński

Kamila Gałęcka, ur. w Radomiu w 1983 r. Studia na Wydziale Sztuki Politechniki Radomskiej na kierunku grafika warsztatowa 2004–2009. Zrezygnowała z obrony pracy magisterskiej. Zajmuje się rysunkiem, malarstwem, fotografią. Również śpiewa i pisze teksty do utworów muzycznych komponowanych przez gitarzystę Kamila Gorazińskiego, które wspólnie wykonują w ramach projektu muzycznego SUPRA. Zawodowo pracuje jako grafik komputerowy.

Niżej publikowany tekst Andrzej Brzegowy napisał po obejrzeniu rysunków Kamili Gałęckiej, które wybieraliśmy do galerii „Miesięcznika Prowincjonalnego”.

Najpierw trzeba poznać zewnętrzną przedmiotów – ich kształty, proporcje, strukturę; skierować całą uwagę na ich świat. Umieć je porównać, zobaczyć różnice, dostrzec podobieństwa i nie ulec wrażeniu identyczności. Rozróżniać ich materialność – jedne błyszczące, drugie matowe, inne chropowate; jedne miękkie, drugie twarde. Potem cień i światło. Jak przenika przez szkło i jak układa się na owalnych kształtach. Zanurzyć się w cieniu siatką kresek aż do czerni, by na białym kartonie ukazało się odbicie świata realnego. Kiedy to stanie się już łatwe, kiedy przedmioty przepoczwarzają się ze stanu przypominającego wykopalisko w formę niemal realną, a kreski posłusznie ułożą się na ich powierzchni, otaczając je przestrzenią, wtedy może ujawnić się rysownikowi, przenikliwemu badaczowi otaczającego go świata, kraina (dla lękliwych tak ogromna, że aż zamykająca im oczy) zdająca się wieńczyć, co prawda złudnie, wieloletni trud obrazowania świata w jego odbiciach. Tylko dla odważnych i świadomych związek sztuki i uczucia (przeżycia) wytyczy kolejny odcinek artystycznego działania, stanie się oczywisty i nierozzerwalny. A gdy jeszcze uczucia rodzą się z taką siłą i mają taką głębię, gdy świat, na który rzuciła nas łaskawa natura, atakuje sforami żądań, oczekiwań, nakazów,

poleceń i rozkazów, a ciało pokrywa cienka, niemal niewidoczna skóra, niedająca odpowiedniej ochrony, to co wtedy? Na co umiejętność analizowania proporcji, budowania relacji pomiędzy przedmiotami, kształtami, nakładania światła i cienia, określania i podkreślania urody rzeczy widzialnych? Czy rysunek może być siatką, w którą wpadną te sfory? Czy kreska ołówka może złowić węzowaty kształt podstępności i obłudy? Czy ból ciała zapakowanego w pleć, a co za tym idzie – w społeczne ramy, da się opisać śladem grafitu wtartego w papier? Czy da się stworzyć rysunkowy wykres obsesji? Jak poprowadzić linię, by stała się parabolą depresji? Jak, jak, jak?

Można dać za wygraną, uznając, że chaos, jaki dociera do umysłu, stale powiększając bełład myśli, natrętność i persfazyjność popkultury, jest nie do opanowania.

Można próbować chwycić pokawałkowane, postrzępione, bełładne informacje i obrazy atakujące ciało i zamknąć w klatkach utkanych z prętów kresek, by ich zawartość stała się jednocześnie ich kształtem. Tworzyć własną kolekcję potworów istnienia w ich cielesności. By ruch ręki, uzbrojonej w ołówek, był sejsmografem wstrząsów ciała osadzonego na wulkanie cywilizacji.

Można i trzeba. Bo ołówek może stać się jedynym narzędziem zdolnym do przegania tego, co jawi się pomiędzy lustrem a patrzącym, gdy widzialne-niewidzialne łapie za włosy, wyciąga język, pcha palec w brzuch i siedząc na ramieniu, ryczy do ucha kłamliwe hasła i obłudne prawdy na czasie. Bo tysiące oczu na ulicach mogą stać się obłodzonym brukiem. Dokonają oceny, posegregują i określą, oczekując, że spełni się ich oczekiwanie, aby świat stał się miły, łatwy i przyjemny.

Trudno jest rysować.

Jeszcze trudniej jest rysować siebie.

Andrzej Brzegowy



szkic malarski *on the pain b(ea=it)ch*, IX 2010 r., farby olejne, ołówek / papier, format A3



rysunek *wyznanie matki*, V 2010 r., ołówek, zielony fluorescencyjny zakreślacz / papier, format A4

na poprzedniej stronie

rysunek połączony z grafiką komputerową *blue girl*, XII 2013 r., ołówek, skan / papier, obróbka, format A4

rysunek *who you are*, ok. 2010 r., ołówek, kredki / papier [na dziecięcy rysunek (czerwona kredka) został naniesiony rysunek autora (ołówek)], format A3

dyptyk

rysunek *życie w słońcu, przyjaźń z cieniem*, IX 2010r.
ołówek, kredka, brokat / papier
format A3

rysunek *opowieść jednego spaceru (to nie moje nogi,
a maszyny koła, peron 10 zet gie rzet, chylę czoła,
rysunek z dedykacją)*, IX 2010r., ołówek, brokat / papier
format A3



dyptyk - rysunki *qłturalnie*, X 2010r., ołówek / papier, format A4 każdy



dyptyk - rysunek *deklaracja - Deklaruję tobie, mój drogi
przyjacielu, kiedy umrę razem ze mną umrze moja świnią!*,
I 2010r., ołówek / żółty papier kalkowy, format A4

rysunek *kain i (k)abel*, XII 2009r.
ołówek / różowy papier kalkowy, format A4

tryptyk

rysunek *passing on the bridge*, III 2011r.
ołówki / papier,
format A4

rysunek *o zboczeniu zawodowym albo
o zachwianiu grawitacji*, III 2011r.
ołówki / papier
format A4

rysunek *on the way home I found my place, (o
przystankach, które nabywają cech domu zmniejszając
uczucie tymczasowości i o tożsamości jako miejscu
stałego zamieszkania od początku do końca)*, II 2011r.
ołówki / papier,
format A4



tryptyk

szkic malarski *list*, III 2011r.
farby olejne / papier
format A4

rysunek *kapisz?*, III 2011r.
ołówki, kredki świecowe / papier
format A4

szkic malarski *need*, III 2011r.
farby olejne / papier
format A4



rysunek *zatrzymać chwilę*, IV 2011 r., ołówek, kredki / papier, 32,5 x 46 cm

Nie umarła jeszcze Ukraina¹ (2)

Wasył Słapczuk – fragmenty zapisów na blogu
<http://slovovolyni.com/ukr/blog/30/14322/>

26.02.2014

Jeśli „sowkowe społeczeństwo” [postsowieckie – przyp. tłum.], to i „sowkowe władze”, które bezustannie oglądają się na Rosję... To zrozumiałe. Podwójna sowiecka moralność, którą otrzymaliśmy w spadku, powodowała, że Ukraina dalej żyła podwójnymi standardami: budowała cerkwie i kłaniała się Leninowi, państwowymi symbolami zostały „tryzub” i flaga, pod którą walczyło UPA, przy tym sama UPA do tej pory nie została uznana za armię walczącą o Ukrainę tylko dlatego, że walczyła także z komunistami.

Niech będzie, wszystko to jest już historią. Trudno zaprowadzić ład w przeszłości, jeśli nie ma porządku w teraźniejszości. Dlatego przechodzę do dnia dzisiejszego. Wydaje mi się, że przyszedł czas, by zweryfikować te wszystkie niedorzeczności ze zmianami nazw i zbiegiem dat. Teraz nie trzeba chodzić daleko, szukać jakichś wiekopomnych wydarzeń w przeszłości – mamy obrońców Ojczyzny, którzy znajdują się na Majdanie. Mamy żywych i, to ogromna rozpacz, zabitych bohaterów. [...]

Jeśli ktoś osierocił dzieci, państwo powinno się nimi zaopiekować, aż do uzyskania wyższego wykształcenia. Ranni także powinni otrzymać odszkodowania w zależności od rodzaju i stopnia obrażeń. Wielu ludzi doznało obrażeń, które doprowadziły ich do kalectwa. Na jakiej podstawie zostaną im przyznane renty? W majestacie obowiązującego prawa wszystkie te okaleczenia – prawdopodobnie – zostaną uznane za cywilne [powstałe w wyniku zwykłego wypadku – przyp. tłum.]. Dlatego trzeba się domagać, aby wszyscy, którzy stali się inwalidami podczas protestów na Majdanie, otrzymali status inwalidów wojennych. Wszystko to trzeba uregulować prawnie.

5.03.2014

Czysto hipotetycznie wojnę Ukrainie może wypowiedzieć jakiekolwiek państwo na świecie, a Ukraina w zasadzie powinna być na to gotowa. Jestem zaniepokojony stanem gotowości Ukrainy na tego rodzaju wyzwania. Ale to zbyt łagodnie powiedziane [...]. Kiedyś poeta Pawło Wolwacz (często do siebie dzwonił, uczestnik Majdanu) powiedział, że u nas nie ma ani sądów, ani milicji, ani władzy... Nie ma niczego. Jedyne co jest, to – ludzie. Rzeczywiście, nie politycy, a prości ludzie „utrzymali na swoich plecach” Majdan i doprowadzili do zwycięstwa (być może to jedynie pierwszy jego etap). To samo – w czasie rosyjskiej agresji na Krymie najbardziej godnie zachowywali się obywatele ukraińscy, tak w cywilu, jak i w mundurach. O dotychczasowej władzy wspominać nie będę – to piąta kolumna. Pozostałości tego gorszącego zjawiska nikt jeszcze nie zaczął analizować. Niedawna opozycja, której nie można zarzucić zdrady, przyszedłszy do władzy zaczęła powtarzać ten sam refren: „Nie prowokujcie! Nie dajcie się sprokować!”. Powody ma jakoby humanitarne: żeby nie przelewać krwi, żeby wszystko robić w sposób pokojowy... Mam wrażenie jednak, że za deklaracjami pokoju nowa władza ukrywa własną nieudolność [...].

To, co zaraz powiem, może się wydać niekonsekwencją tym, którzy czytali moją powieść przeciwko wojnie *Knyha zabuttia* (Kijów 2013) [*Księga zapomnienia* (Wysoki Zamek, Kraków, październik 2014) – przyp. tłum.]. Jeśli Rosja chce z nami wojny, powinniśmy dać jej wojnę. Jaka by nie była liczebność ukraińskiej armii – 191 tys. żołnierzy czy 165 tys. Nawet gdybyśmy w ogóle nie mieli wojska, jesteśmy zobowiązani do zbrojnego oporu wobec okupacji rosyjskiej. To sprawa honoru. Akceptowanie agresji Rosji – to akceptowanie woj-

¹ Z hymnu narodowego Ukrainy, słowa Pawło Czubyński, muzyka Michajło Werbyckij.

ny. W ten sposób jeszcze bardziej zapaskudza-
my nasz świat [...].

Oczywista to rzecz, że Rosja ma jedną z naj-
silniejszych armii świata. A my swoje wojsko
utrzymujemy jedynie na wypadek, gdyby na
nas napadło któreś z małych państw – Luk-
semburg albo Monako. Rosyjscy wojskowi ana-
litycy mówią, że dużo z tego, co ma nasze woj-
sko, szczególnie z tego, co lata, istnieje jedy-
nie na papierze. Ale przecież finansowane jest
tak, jakby było prawdziwe. Pytanie: po co nam
taka armia? Pamiętajmy, ile wyciąga z budżetu.
Samo tylko utrzymanie generałów kosztuje
nie wiadomo jakie pieniądze. A generałów
ma Ukraina więcej niż było w ZSRR. Trzeba po-
zbawić posad tych wszystkich darmozjadów;
niech spróbują wyżyć z szeregowej emerytu-
ry [...]. Wstyd mi przed tymi żołnierzami, wstyd
przed cywilnymi mieszkańcami Krymu, którzy
nie rzucili się w objęcia Rosji, ale i od Ukrainy
póki co nie otrzymali wsparcia. Powinniśmy
przyjąć wyzwanie Rosji. W przeciwnym razie
będą nas zawsze znieważać. I będą mieli rację.

Dość gadania o silnym państwie i silnym na-
rodzie.

20.04.2014

Czysty Czwartek (wedle tradycji ukraińskiej,
wedle polskiej – Wielki Czwartek). Zwyczajowo

jeszcze przed wschodem słońca ludzie zaczynali
sprzątać obejście i okolicę – dom, chlew, podwór-
ko, sad, ogród... Przygotowywali się do święta,
jednak za zaprowadzaniem porządku kryła się
swoista mistyka. Palenie ubiegłorocznych liści,
badyli, chwastów i innego śmiecia oczyszcza zie-
mię z „zimy, śmierci i wszelkiego brudu”. Temu
wszystkiemu towarzyszyły specjalne inwokacje.

Chciałbym znać te inwokacje i zaklęcia, z po-
mocą których mógłbym oczyścić Ukrainę od
tego, co nie tylko zwyczajnie przeszkadza jej
w rozwoju, ale także poniża, demoralizuje,
prowadzi do całkowitego rozkładu. Wszystkie
nasze wewnętrzne problemy zostały przynie-
sione z zewnątrz. Partia Regionów i komuni-
ści otwarcie służą Rosji. A ilu jeszcze sługusów
robi to w sposób utajony! Niezależnych i kre-
atywnych ukraińskich polityków jest za to nad-
zwyczaj niewielu. W efekcie od negatywnych
postaci uciec nie ma gdzie. Nie zdążyliśmy po-
zbąć się jednego Janukowycza, gdy w zastęp-
stwie (władza z opozycją szybko się przefor-
matowały, zamieniwszy miejscami) przyszedł
„kolektywny” Janukowycz (rozpisany na okre-
śloną zbiorowość). On właśnie Rosjanom od-
dał Krym i, odnosi się wrażenie, szykuje się,
by oddać jeszcze wschód Ukrainy.

Trzeba przyznać, że nasza zależność od Rosji
jest nieomal totalna, aż katastroficzna. Nie mó-

wimy o politycznej czy ekonomicznej zależno-
ści. O tym zbyt często nam przypominają. Rza-
dziej rozmowa schodzi na zależność kulturalną.
Kinematografia ukraińska nie istnieje w zupeł-
ności. Niektórzy odnoszą wrażenie, że katego-
ria niebytu odnosi się także do literatury. Wy-
starczy odwiedzić najbliższą księgarnię, żeby
wyciągnąć podobny wniosek. Procent ukra-
ińskich książek jest mizerny, a w niektórych
księgarniach nie znajdzie się żadnych ukraiń-
skich publikacji. Nie zagłębiając się w problemy
ukraińskiej literatury, porozmawiajmy o kwe-
stii ukraińskiego czytelnika. A rzecz ma się źle.
Mało tego, że ten żyje z kompleksem skarle-
nia ojczystej ukraińskiej literatury, to jeszcze i ze
światową zapoznaje się za pośrednictwem ro-
syjskiego języka.

W tej sytuacji bojkot wobec wszystkich rosyj-
skich towarów jest zasadny (z mojego punktu
widzenia po tym, jak Rosja wypowiedziała woj-
nę Ukrainie, jesteśmy zobowiązani to robić, cho-
ciaż mamy świadomość, że protest ten jest jedy-
nie demonstracją pozbawioną znaczenia). Także
gazu i ropy. Postawmy w mieszkaniach burżu-
i [piecyk węglowy ze stalowej rury, ze wzglę-
du na uprzywilejowanie właściciela, płynące
z możliwości ogrzania mieszkania, nazywany na
zachodzie Ukrainy burżujką – przyp. tłum.], wy-
prowadźmy przez okna kominki i palmy w nich
drewnem. Jak to przez jakiś czas działo się w Gru-
zji. Olbrzymi dyskomfort, ale za cenę niezłomnych
zasad, który można (i trzeba) znieść w imię wol-
ności. W ten sposób pozbawilibyśmy Rosję jed-
nego z podstawowych instrumentów szantażu
i nacisku na Ukrainę.

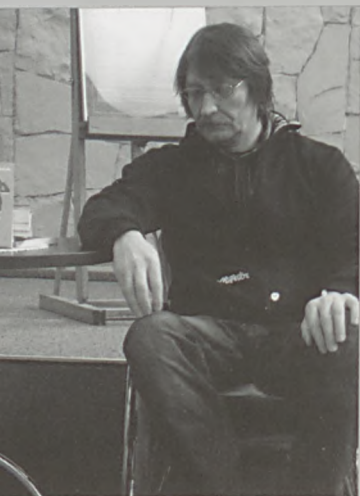
Przekłady światowej literatury na język ukraiń-
ski, w porównaniu z osiągnięciami rosyjskich tłu-
maczy, wyglądają na tyle mizernie, że za każdym
razem z tego powodu ogarnia mnie głębszy żal.

Podczas gdy w Rosji klasycy światowej li-
teratury są prezentowani w wielotomowych
zbiorowych kolekcjach, u nas – w najlepszym
wypadku – zbiorem wybranym, w najgor-
szym – pojedynczym utworem, a zwykle frag-
mentarycznie w czasopiśmie, z odsyłaczami
(albo i bez nich) do wydań rosyjskich. Jeszcze

bardziej krytycznie rysuje się sytuacja z prze-
kładami współczesnych autorów. I chodzi nie
tylko o literaturę piękną, ale i filozofię, lite-
raturoznawstwo itp. Jest oczywiste, że taka
sytuacja ukształtowała się nieprzypadkowo,
w wyniku imperialnej polityki Moskwy i tę-
pej, postkolonialnej bezczynności naszego ro-
dzimego Kijowa.

Żeby nadrobić straty, nawet w sprzyjających
okolicznościach, a takich w najbliższym cza-
sie trudno się spodziewać, przyjdzie nam pra-
cować jeszcze wiele, wiele lat. Jeśli z dnia na
dzień zrezygnujemy z pośrednictwa rosyjskich
przekładów, to bardzo szybko stoczmy się do
poziomu jaskiniowców. Tylko sobie na szko-
dę. Jednakże nie możemy pozwolić na utrzy-
manie takiego stanu rzeczy. Jakiś procent (je-
stem przekonany, że będzie nadal rósł) mło-
dzieży władą językiem angielskim, ale póki co,
to nie poprawia sytuacji. Myślę, że całościową
alternatywą dla Ukrainy może być sąsied-
nia Polska. Jest tuż obok. I jej stanowisko od-
nośnie wsparcia Ukrainy w konfrontacji z Ro-
sją jest najbardziej zasadnicze, konsekwent-
ne i szczere. Proponuję Ukraińcom, by uczy-
li się polskiego języka, choć ta propozycja nie
jest w żaden sposób oryginalna. Znam ludzi z
centralnej i wschodniej Ukrainy, którzy
w czasach radzieckiej władzy specjalnie uczy-
li się polskiego, by mieć możliwość czytania
polskich pism, które prenumerowali albo za-
mawiali w kioskach. W porównaniu z patolo-
gicznie kłamliwą radziecką prasą polskie pisma
dawały bodaj niewielką, ale jednak odmianę.
U nas, w zachodniej Ukrainie, wielu starszych
ludzi władało polską mową.

Tak więc podsumujmy: potrzebujemy alter-
natywnego do rosyjskojęzycznego źródła in-
formacji, dzięki któremu będziemy mieli moż-
liwość utrzymania związku ze światową kultu-
rą, dopóki język ukraiński nie stanie się podsta-
wowym i w pełni wartościowym narzędziem
komunikacji zapewniającym bezpośredni do-
stęp do światowych osiągnięć kulturalnych.
Najbardziej przydatny w tej sytuacji może stać
się polski język. Jeśli uświadomimy sobie tę po-



Wasyl Słapczuk – jeden z najbardziej znanych pisarzy ukraińskich
środkiego pokolenia, dr nauk filologicznych, członek Narodowe-
go Związku Pisarzy Ukrainy.

Nagrodzony najwyższą ukraińską literacką Nagrodą im. Tarasa
Szewczenki (2004), laureat wielu międzynarodowych nagród lite-
rackich.

W 2013 r. Wasyl Słapczuk był gościem 36. Radomskiej Wiosny
Literackiej. Fragmenty jego bloga opublikowaliśmy w numerze 2
(143) „MP”, marzec–kwiecień 2014. Jak dowiedzieliśmy się od Woj-
ciecha Pestki, który tłumaczy prozę W. Słapczuka, autor zaprze-
stał pisanie bloga, uznając, że obecna sytuacja na Ukrainie wyma-
ga innej aktywności z jego strony. Powyższy fragment jest ostat-
nim wpisem dokonany przez Wasyla Słapczuka.

trzebę, to zarysuje się jej praktyczne rozwiązanie. Proponuję nawiązanie kontaktów z polskimi towarzystwami, które najprawdopodobniej działają w każdym regionalnym centrum, a poprzez te społeczności dotarcie do konsulatów, z propozycją organizowania kursów języka polskiego. Na przykład we Wschodnioeuropejskim Państwowym Uniwersytecie im. Łesi Ukrainki znajduje się Katedra Języka Polskiego, a więc są i specjaliści, którzy mogą odegrać istotną rolę w tej tak fundamentalnej sprawie. I aby nie tracić czasu, można zacząć od polskiego radia. W internecie polskie rozgłośnie można znaleźć bez problemu. Jak i księgarnie internetowe, które są gotowe wysyłać książki na Ukrainę.

W tym roku prawosławni i katolicy świętowali Wielkanoc jednego dnia (wyjątkowa zbieżność kalendarzy). Sądzę jednak, że nie musimy szukać na siłę rzeczy, które nas łączą. Wystarczy, że będziemy ciekawi jedni dla drugich, także i w tym, czym się różnimy. Stosunki między naszymi narodami są złożone, ale przyjacielskie i cywilizowane.

Nie chcę nikomu narzucać swojej woli. Nie chcę narzucać nikomu swoich myśli.

Ja dokonałem już wyboru.

To mój Czysty Czwartek.

Wasył Ślupczuk

przełożył z ukraińskiego Wojciech Pestka

Władza nad przeszłością – historie alternatywne i przestrzeń

Jerzy Stachowicz

W ostatnich latach w polskiej literaturze fantastycznej pojawiła się znacząca liczba książek, które opisują niezrealizowane warianty rodzimej historii.

Czy moda na historię, a może bardziej historie alternatywne, ma coś wspólnego z władzą?

Bycie u władzy zawsze wiąże się z panowaniem nie tylko nad działaniami jednostek podległych, ale także nad ich myślami i czasem. Nie chodzi tu oczywiście jedynie o czas teraźniejszy, lecz o totalne panowanie nad czasem jako takim, a przede wszystkim nad czasem minionym, historią. Przeszłość widziana z tej perspektywy jest jedynie funkcją teraźniejszości.

W dialektycznym ruchu nowa władza kształtuje swoje wyobrażenie przeszłości w opozycji do władzy poprzedniej i w myśl zasady, że tylko zwycięzcy piszą historię. Przeszłość ma być odbiciem teraźniejszości, a z drugiej strony ma teraźniejszość kształtować, budując odpowiednią, pożądaną tożsamość – rasową, plemienną, narodową, lokalną, jednostkową. Władza nad przeszłością legitymizuje władzę nad teraźniejszością.

Bycie u władzy jest więc związane z tworzeniem nowego porządku pod prąd czasu – budowaniem własnej historii. To zjawisko włączane niegdyś w obręb pojęcia propagandy, dziś zyskało mniej złowieszczą nazwę polityki historycznej. Jednak nowy termin, który teoretycznie ma skupić się na kształtowaniu świadomości historycznej, włączaniu debat historycznych do dyskursu publicznego, nadal odwołuje się do pojęcia walki o władzę, która zawsze, ostatecznie odwołuje się do jakiejś formy przemocy. Choć w tym wypadku można mówić przede wszystkim, odwołując się do terminu francuskiego socjologa Pierre'a Bourdieu, o przemocy symbolicznej. Zdobywaniu władzy nad przeszłością towarzyszą „od zawsze” pewne strategie kulturowe polegające na wymazywaniu i budowaniu. Objawiają się one na różnych polach: od architektury, stawiania pomników i wmurowywania tablic, po literaturę.

W ten sposób dochodzimy do opowieści o historii alternatywnej jako nie tylko formy literackiej, ale również sposobu sprawowania wła-

dy nad przeszłością i teraźniejszością – jednej z kulturowych strategii – sposobu sprawowania władzy symbolicznej. Modne obecnie powieści przedstawiające alternatywną wizję czasów minionych tylko pozornie są dalekie od stawiania pomników, odbudowywania budowli itp. Również stanowią element polityki historycznej, jak choćby seria „Zwrotnice czasu” wydawana przez Narodowe Centrum Kultury, instytucję zajmującą się właśnie w dużej mierze kształtowaniem tejże polityki.

Dlaczego tak bardzo potrzebujemy alternatywnej wizji przeszłości? Zresztą nie tylko my, bo moda np. na steampunk przywędrowała do nas z kręgu kultury anglosaskiej. Historie alternatywne nie były, na przykład, tak popularne wśród twórców literatury fantastycznej okresu dwudziestolecia międzywojennego. Choć przecież właśnie wtedy można było wreszcie, bez ograniczenia cenzurą, tworzyć fantazje na temat Polski, która nie znalazła się pod zaborami. Zawsze jednak, po odzyskaniu niepodległości, objawiała się chorobliwa potrzeba nadrobienia straconego czasu, dogonienia tych, którzy „sami” mogli kształtować swoją historię. Stąd wzięta się przedwojenna potrzeba posiadania kolonii i popularność Ligi Morskiej i Kolonialnej (organizacja ta miała prawie milion członków w latach 30. XX w.) – choć czas tradycyjnych kolonii właśnie odchodził do historii. Jakby gnała nas chęć znalezienia się za wszelką cenę w naszej własnej historii alternatywnej, w której byliśmy, jesteśmy i będziemy potęgą. Mocarstwowe ambicje władz II RP wydawały się być sposobem zapanowania nad niechlubną przeszłością, próbą jej wymazania i udawania, że nigdy nie miała miejsca.

Ze sporą liczbą historii alternatywnych w literaturze fantastycznej mamy natomiast do czynienia w ostatnich latach. Powstają alternatywne wizje Polski, którą ominęła II wojna światowa (*Burza* Macieja Parowskiego), powstania styczniowego (*Orzeł bielszy niż gołębia* Konrada Lewandowskiego) itd. To przede wszystkim literatura, która wskazuje z jednej strony naszych „odwiecznych” wrogów,

a z drugiej, co oczywiste, poprzez to wskazanie buduje tożsamość opartą na nieistniejącej polskiej potęgzie – alternatywnej historii, w której „nam się udało”.

Ta tożsamość tworzona jest w opozycji do projektów ponadnarodowych, osłabiających władzę. Jednak jest to opozycja pozorna. Zapanowanie nad przeszłością – jej kontrolowanie – nie neguje przyszłości jako otwartej na takie ponadnarodowe koncepcje. Narracje o historii, która nigdy nie zaistniała, okazują się sposobem zapanowania nad przeszłością. Jednak czy historia alternatywna przyjmuje jedynie formy literackich narracji (ewentualnie narracji nieliterackich, ale „typowych” sztuk teatralnych, filmów, gier komputerowych)? Istnieją również inne popularne strategie, w których często o wiele wyraźniej rysuje się element przemocy. Władza nad przeszłością objawia się przecież nie tylko w nowych narracjach historycznych, ale w ich materializacji w przestrzeni.

Chyba najbardziej widoczną i zawsze budzącą publiczne debaty ingerencją historyczną w przestrzeń jest zmiana nazw ulic. Nie ma chyba miasta, w którym po 1989 r. nie pozmieniano nazw ulic w imię dekomunizacji, tak jak po 1945 r. zmieniano nazwy ulic kojarzących się z II RP, a po 1918 zmieniano ulice kojarzące się z zaborcami – nie mówiąc już o pomniejszych korektach, po takich wydarzeniach jak odwilż 56. Inną podstawową strategią jest inwazja tablic pamiątkowych przypominających o historycznych postaciach żyjących w danym miejscu, budowa i burzenie pomników. Szczególnie widoczne jest to w miejscach granicznych, w których różne wizje przeszłości przenikały się w sposób szczególny – w miastach na pograniczach kultur, przechodzących z rąk do rąk lub zamieszkałych przez różne grupy etniczne.

Jednak dużo ciekawsze wydają się działania o znacznie większym architektonicznym rozmachu. Władza nad historią pozwalała nie tylko burzyć architektoniczne symbole czasów przeszłych, takie jak soborów św. Aleksandra Newskiego na placu Piłsudskiego w Warszawie (wcześniej w kolejności chronologicznej: pla-

cu Saskim, Piłsudskiego, Hitlera, Saskim, Zwycięstwa) oraz wznosić symbole nowej władzy w postaci Pałacu Kultury i Nauki, ale również pozwala odbudowywać, a nawet budować od nowa pomniki przeszłości zgodne z panującą w danym czasie wizją historii. Przykładem jest choćby powojenna odbudowa Nowego Światu i Krakowskiego Przedmieścia w Warszawie. Dzisiejsi turyści robią sobie zdjęcia nie tyle na tle odbudowanych kamienic i pałaców, ile na tle zrekonstruowanej wizji z obrazów Canaletta. Niektóre całkiem dobrze zachowane kamienice burzono, by „zrekonstruować” budynki stojące tam wcześniej. W ten sposób została w dużej mierze, mimo odbudowy, Warszawa z lat międzywojennych. Spektakularną próbę stworzenia „historycznego” symbolu dominacji pruskiej podjęto z kolei pół wieku wcześniej w Poznaniu, gdzie w latach 1905–10 wybudowano nowy Zamek Cesarski. Nie pałac, a właśnie zamek, odwołujący się do tradycji średnio-wiecznych i nawet wówczas sprawiający wrażenie budowli starej, z elementami stylu romańskiego i posągami Gerona, Ottona I oraz Fryderyka Barbarossy – miał pokazywać odwieczną historyczną przynależność Wielkopolski do ziem germańskich. Walka o historyczną przynależność tych ziem na poziomie architektoniczno-symbolicznym wydaje się zresztą nie mieć końca – właśnie odbudowano Zamek Królewski, który został wymazany z oblicza miasta podczas panowania pruskiego. Przy czym słowo odbudowa można tu uznać za równie dobre, co budowa. Zamek powstał na podstawie zachowanych grafik z XVII w., ale jest jedynie nowoczesną architektoniczną wizją. W dodatku do renesansowej w stylu budowli dodano gotycką wieżę, która runęła w wyniku osunięcia się ziemi jeszcze w XVI w. Przejęcie władzy nad przeszłością wiąże się więc z przemianą przestrzeni teraźniejszości, mnożeniem znaków pamięci i swoistych architektonicznych symulaków.

Działania architektoniczne są zatem często próbą tworzenia alternatywnych znaków historii – monumentów, materialnych znaków, a ra-

czej symulaków odnoszących się do opowieści typu „co by było, gdyby nasi byli tu zawsze u władzy” – lub jak w przypadkach ekstremalnych, np. na ziemiach zachodnich, do opowieści „co by było, gdyby nasi trwali w tym miejscu nieprzerwanie”. Pomniki, budynki, tablice pamiątkowe same w sobie nie tworzą może alternatywnych wersji historii, lecz jako zbiór, ograniczony przestrzenią miasta czy regionu, współtworzą ową narrację – jako jej elementy – przemieszczanie się od jednego pomnika, zamku, domu, do drugiego tworzy opowieść; jako miejsca nią wypełnione – muzea, wystawy, na których znajdziemy teksty, nagrania pokazujące „prawdziwą” historię otaczającą nas przestrzeni (na zamku cesarskim w Poznaniu tę historię przedstawiały pomniki niemieckich cesarzy, a w czasie PRL-u pojawiły się kamienne tablice przedstawiające historię Wielkopolski od pierwszych Piastów i skupiające się na zwycięstwach nad Niemcami) lub jako ilustracje do nowych, obecnie słusznych narracji o przeszłości. Ta ilustracyjność jest oczywiście umowna i symulowana, bo tak naprawdę także ona służy nie tyle ilustrowaniu co uprawomocnianiu jedynej słusznej narracji – kolejnej alternatywy historycznej czy też historii alternatywnej.

Jednak przemiana przestrzeni może przybrać również formę symulacji powrotu dawnych czasów w nowej, dostosowanej do nowych warunków formie, podszywającej się pod starą. W formie rekonstrukcji wydarzenia historycznego. Wydarzenia, w którym można czynnie uczestniczyć, a nie tylko przyglądać się, jak w przypadku filmu historycznego. Coraz modniejsze stają się rekonstrukcje bitew z wszelkich epok, powstań, a nawet łapanek, egzekucji czy obozów koncentracyjnych. Wydaje się, że nie ma już obchodów jakiegoś wydarzenia historycznego bez, choćby skromnego, udziału jakiejś grupy rekonstrukcyjnej, czyli osób przebranych w stroje z epoki (najczęściej pojawiają się one przy obchodach wydarzeń dotyczących II wojny światowej, a zastanowienia wymaga fakt, że Polacy bardzo chętnie wcielają się w żołnierzy Wehrmachtu). Oczywiście

rekonstrukcje, przede wszystkim bitew, nie są wynalazkiem ostatnich lat. Pojawiły się już w XIX w., a ich korzeni można poszukiwać choćby w wielkich inscenizacjach bitewnych starożytnego Rzymu (gdzie odgrywano nawet bitwy morskie – *naumachie*).

Pobyty w zrekonstruowanym sowieckim gułagu, który zapewniał nawet sprawną „egzekucję” odwiedzających, opisała dr Agnieszka Haska (*Witajcie w Gułagu*, „Kontakt” nr 14, s. 24). Autorka zauważa: „Problem polega na tym, że rekonstrukcje teoretycznie odżegnują się od bycia narracją historyczną, ale do jej miana pretendują, zachwalając dokładność i podobieństwo wydarzeń. W ten sposób stają się one źródłem pamięci na tyle mocnym, że przykrywa inne”. Rekonstrukcje pozwalają przeżywać historię jak wizytę w parku tematycznym – z jednej strony jej doświadczać, z drugiej, jak najbardziej się od niej oddalać. Widz, a tym bardziej czynny uczestnik traci rozeznanie, co jest wizją autorską reżysera rekonstrukcji, a co odtworzeniem prawdziwych relacji. Rekonstrukcja również staje się rodzajem historii alternatywnej. Staje się wydarzeniem głośnym (choćby w skali lokalnej), medialnym, a przez to w jakimś sensie historycznym (a nawet, poprzez kontrowersje, jakie wzbudzi w widzach, świadkach oryginalnych zdarzeń itp. może stać się historyczne samo, w sobie tak jak historyczne mogą okazać się konkretne odtworzenia sztuk teatralnych w określonym kontekście, choćby słynne „Dziady” Dejmką).

Mimo dbałości o dokładność w odtworzeniu strojów, szczegółów uzbrojenia oraz ścisłość topograficzną pojawia się chęć dokonania drobnych korekt, małych zmian, które mają przyciągnąć widzów, dostosować odgrywane wydarzenia do ich wrażliwości estetycznej. Jak opisuje Haska, organizatorzy niedosłej inscenizacji walk na placu Grzybowskim podczas powstania w getcie warszawskim jako karty przetargowej, mającej przekonać władze do poparcia rekonstrukcji użyli, zapewnienia, że podczas inscenizacji pominięte zostaną krwawe sceny.

Ostatecznie okazuje się, że walor historyczny nie jest tak ważny jak towarzysząca rekonstrukcji zasada przyjemności, która ma być intensywnym, ale przyjemnym ludycznym doświadczeniem połączonym z konsumpcją (po bitwie, egzekucji trupy wstają i wraz z widzami wędrują ku pobliskim stoiskom gastronomicznym – w końcu wojna to ciężkie rzemiosło i po bitwie wypada się najeść). Przyjemnością jest również przeżywanie po raz kolejny narodowych triumfów (bitwa pod Grunwaldem). Ale czy za małymi korektami, usuwaniem drastycznych scen, nie kryje się też pragnienie przeżycia większej przyjemności – napisania historii od nowa? Pokazania jak wygrywamy powstanie, naprawienia oczywistych z historycznej perspektywy błędów dowódców itp. Haska zauważa, że odchodzi już pokolenie ludzi biorących czynny udział w walkach II wojny światowej, pamiętających nazistowskie zbrodnie, i nie będzie komu protestować przeciwko załadowaniu rekonstrukcyjnych symulaków przykrywających i zaciemniających prawdziwe doświadczenie. Nie będzie również komu protestować przeciwko zmienianiu takiego doświadczenia w odgrywanie mniej lub bardziej alternatywnych scenariuszy.

Jerzy Stachowicz

Te luźne refleksje powstały na marginesie debaty, która odbyła się 10 lipca w Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu w ramach projektu „Człowiek z Wysokiego Zamku” realizowanego przez Weronikę Szczawińską, Piotra Wawra jr oraz Krzysztofa Kaliskiego, a w której udział wzięli Agnieszka Haska, Jerzy Stachowicz i Ziemowit Szczerek.



Wstęp do teorii poznania

Grzegorz Sasin

iot. internet

Trauma. Gdy pancernik kulisty poczuje niebezpieczeństwo, zwija się w kulę, taką łaciatą piłkę (dlatego też ów zwierzak został maskotką mundialu w Brazylii). W podobnym szoku, paraliżu zagrożenia, wykluczenia są bohaterowie scenariuszy filmowych Tadeusza Różewicza pisanych dla brata Stanisława. Też jak ten pancernik są sami wobec świata. Nikt nie może im pomóc. Mogą tylko skulić się wewnątrz. Wycofać niejako poza rzeczywistość – bo być może jest ona jedynie złudzeniem. W taki wycofany świat trafia dramaturg (Zbigniew Zapasiewicz) z filmu „Drzwi w murze”, który na kilka dni znajduje gościnę u dwóch kobiet; właśnie wycofanych, „nieistniejących”. To matka (Ryszarda Hanin) i córka (Wanda Neumann).

Na zewnątrz, poza stancją, jest teatr, gdzie trwają próby sztuki dramaturga. Wewnątrz jest przymus miłości i obowiązku: matka jest chora psychicznie, córka poświęca jej siebie, czyli wszystko, co ma. Gra między sumieniem a bytem? Kto pyta? Widz, chyba... Bo ten dramaturg może być Różewiczem, jego bratem, ale też np. Szekspirem, a ten mówi nam perswazją króla Ryszarda III: „Takie sumienie to niebezpieczna rzecz [...]. Każdy zatem człek, który chce żyć wygodnie, stara się polegać na so-

bie samym i żyje bez sumienia”. Bo sumienie to rzecz wyuczona, nabyta, skoro według Gombrowicza „nie ma sumienia indywidualnego” (*Diariusz Rio Parana*). A jednak sumienie tkwi w życiu samym, jest ono zakodowane w córce, w dramaturgu. Sumienia nie można ot, tak sobie odrzucić, bo ono jest jak kleszcz. Uwierza i nie daje spokoju. Nie ma od niego ucieczki, nawet w sztukę, bo wszelka sztuka jest też ucieczką w zabawę, w swobodę, nawet w katarsis, ale jest tylko rozrywką, chwilowym *carpe diem* od nacisku życia. Jest też iluzją, gdyż jak pisze Różewicz w wierszu: „MOJA POEZJA/ niczego nie tłumaczy/ niczego nie wyjaśnia/ niczego się nie wyrzeka/ nie ogarnia sobą całości/ nie spełnia nadziei”. Dlatego jest ludzka, ziemiska. Może co najwyżej zbawić, na chwilę, samego poetę.

Życie i sztuka. Albo życie i religia. Pastor Hubina z opowiadania „Straszny czwartek w domu pastora” Karola Ludwika Konińskiego wikła się w wewnętrzny dialog prowadzony między człowiekiem a Bogiem, wiarą a rzeczywistością, w trochę młodopolskim stylu, gdzie wiara jest nade wszystkim. Z tego cokolwiek mętnego fideizmu rezygnuje Różewicz, scenarzysta w filmie „Samotność we dwoje”; akcja

zostaje przeniesiona w lata 30. XX w. I wówczas dochodzi do dialogu pastora Hubiny (Mieczysław Voit) z samym sobą, dialogu człowieka z człowiekiem, z którego jednak wykluczona jest żona (Barbara Horowianka). Czyż zło jest w człowieku? – pyta pastor. Czy też jest od człowieka niezależne? Ale wtedy – gdzie Bóg? Bo ten pastor nie żyje już w epoce fin de siècle’u, lecz u progu końca świata, apokalipsy, której na imię – nazizm. Filmem tym obaj bracia nawiązują poniekąd do Ingmara Bergmana, do jego „Gości Wieczery Pańskiej”, gdzie też mamy pastora (Gunnar Björnstrand) postawionego wobec dylematu – Bóg i świat. Tym razem świat atomowy, który przeraża jednego z parafian, rybaka Perssona (Max von Sydow), cierpiącego z powodu zła świata u progu zagłady nuklearnej. Pograżonego z tego powodu w swoistym letargu. O wybawienie, o wstrząs psychiczny błaga pastora żona Perssona (Gunnel Lindblom), a ten może tylko powiedzieć: „Ufaj Bogu”. Choć sam nie ufa, bo wobec zła świata zwątpił w Boga. Więc jak może pomóc komukolwiek? – pyta sam siebie przerażony, gdyż Persson popełnił samobójstwo. Uciekł w śmierć. Czyż może pomóc innym miłość, takie małe otwarcie się zrozpaczonego człowieka na ten łudzający urodą świat? Pastor nie wie. Jest w nim pustka... Film otwiera sekwencja liturgii w kościele surowym, luteranckim. Film kończy się sekwencją w kościele surowym, luteranckim... Pastor Różewicza i pastor Bergmana wobec niemożności rozwiązania zagadki świata, życia, Boga. Wobec przerażającej pustki KOSMOSU Pascala.

Uwikłanie człowieka, jego relacja ze światem zwykle wynika z tzw. otoczenia, z okoliczności, z sytuacji, w jakiej człowiek się znalazł, np. taki Henryk (Wieniczyśław Gliński), bohater filmu „Echo”. Szanowany, poważany w lokalnej społeczności zostaje nagle zrzucony z piedestału. Zostaje oskarżony o współpracę z gestapo w czasie okupacji. Zaprzecza, mówi – ta współpraca była pozorna, uratował przez to człowieka. Ale ten człowiek nie może tego potwierdzić, nie ma go wśród żywych. Zdradził? Nie

zdradził? Nikt tego nie wie. Stąd plotka zmienia się w osąd moralny, osacza bohatera i jego rodzinę: żonę, syna. Nagle człowiek jest sam, pozostają tylko kontury, ostrosłupy, życiowa mgławica, nawet jakby mgła owijająca przecież każde ludzkie życie, a już na pewno w sytuacji ekstremalnej, jaką była okupacja hitlerowska, rozwiewa się pod ręką szlifierza, który z bryły wydobywa diament – czysty bądź ze skażą. Bohater czy zdrajca? *Tertium non datur*. Życie pokazuje swoje pazury, jak w wierszu „Zabiegi”: „Nasze ciała/ to stworzenia praktyczne/ mają dusze nieśmiertelne/ ale /kiedy zajdzie potrzeba/ żyją długo i szczęśliwie/ bez duszy”. Poeta jest tu bezlitosny i drwiący, scenarzysta wprawia w ruch suspens, wyostreza sytuację, stawia widza naprzeciw wyborowi, gdzie słowa nie mają znaczenia wobec ujęć kamery, twarzy aktora, wobec obrazów filmowych, które mówią wprost, a nie przez omówienie jak poezja, proza, dramat. To mówi ten sam Różewicz, ale przetwarza to samo inaczej. W detalach, zbliżeniach, oddaleniach. Niuanse psychologiczne zyskuje walor dokumentalny, człowiek staje nagi wobec kamery. Może dlatego Jan Kott ogłosił ongiś taki swoisty paradoks, że Szekspira nie ma w teatrze, Szekspir jest w filmie. W nim bowiem najlepiej sprawdza się zasada szekspirowskiej narracji: jest ona montażowa. Coś podobnego mamy w „Echu”, a propos Różewicza. Ten film bowiem pokazuje, że poetyckie i dramaturgiczne obrazowanie Różewicza też jest montażowe, powiedziałbym przechodnie, jak np. w „Kartotece”. Dlatego m.in. Różewicz nie nadaje się do recytowania. Jego wiersze trzeba pokazywać! Kamera!

I tak doszliśmy do wojny. Do „Świadectwa urodzenia”, trzynowelowego filmu o sytuacjach, w jakie wikła ludzi niecodziennność, nie-rzeczywistość piekła, które jest banalne, jakby powiedziała Hannah Arendt. Najpierw jeszcze groza jest efektowna: bomby, czołgi, wybuchy, eksplodujący świat. Przez wrzesień 1939 jedzie zagubiony chłopiec wraz z żołnierzem – taborytą, który uwozi archiwum pułkowe, „nie-miernie ważne papiery” i raczy dziecko sen-

tencjami rodem ze szkoły niedzielnej, a wokół wali się świat. I jadą tak na wozie dwaj chłopcy, jeden kilkuletni, drugi dorosły. Obaj znajdują się w pętli bez wyjścia, w takim trismus (szczękościsk). I cóż robić w tym absurdzie? Żyć, czyli wykonywać to, co trzeba, to, czego jesteście pewni. I pewny swego obowiązku taboryta strzela do czołgów z karabinu... Po co? Może chce wyjaśnić sytuację najprostszym gestem? Rozwiązać absurd, aby uciec w nieznanne, czyli śmierć. Właśnie – żyć, jak dwaj chłopcy w okupacyjnym miasteczku, którzy pozbawieni ojca (przebywa w oflagu) muszą robić wszystko, żeby przeżyli i oni, i ich matka. Sytuacja, tj. okupacja, została im narzucona, a jedyną nadzieją na życie jest życie, bo jak mówi Joka sta u Sofoklesa: „Przypadek naszym życiem kieruje,/ Nikt nie umie przenikać przyszłości, nikt./ Żyjemy najlepiej, gdy żyjemy bez celu,/ Z dnia na dzień”. I to jest właśnie wyjście z sytuacji. I to właśnie czynią chłopcy z drugiej noweli filmu. Pewność ma tylko esesman z trzeciej odsłony pt. „Kropla krwi”, który stwierdza, że ta dziewczynka jest na pewno idealną Aryjką, a przecież jest Żydówką. Esesman jednak opiera się na autorytetach naukowych wymyślonych przez „wybitnych” genetyków na usługach Trzeciej Rzeszy. Jego pewność siebie bierze się z tego, że jego sumienie jest czyste, gdyż tym sumieniem jest führer, czyli państwo.

„Opadły liście z drzew” to adaptacja opowiadania Tadeusza Różewicza, dokonana przez Stanisława. Też okupacja: partyzantka, las, deszcz, przypadkowa śmierć. Brudne, szare miasteczko. Ojciec i syn. Co jeden pozostawia drugiemu? Drobiazgi, przypadkowe przedmioty, ale też coś więcej, coś jakby wskazówkę na przyszłość: wyjaśnić, objaśnić, opisać, określić, obdrzeć z mitu sytuację człowieka pod okupacją, pod wahadłem totalitaryzmu – i mieć złudzenie, że życie to nie tylko absurd, a okupacja to tylko wspomnienie, które płacze się po głowie bohatera filmu (Mieczysław Hryniewicz), kiedy jedzie do miasta uniwersyteckiego podając studia. I dojeżdża tam jako postać z noweli

„Nowa szkoła filozoficzna”, zapisuje się na seminarium: „Wstęp do teorii poznania”.

Iluzją więc okazuje się także teza Kazimierza Wyki, że z wojny wyszli młodzi poeci zarażeni śmiercią. Nihilisci nowej ery. Nie tyle nihilisci, co ironiści, sceptycy, którzy przestali wierzyć mistrzom wykładającym teorie poznania, na rzecz mistrzów wykładających teorie życia (mimo wszystko): „Pozzo: Słońce świeci tylko chwilę, a potem noc, znów noc”. (Beckett, *Czekając na Godota*).

Godotem wszak, na którego czekamy każdego ranka, jest życie, a nie „Piekło i niebo”, po którym wędrują dziadek z wnuczką. Życie, w którym można znaleźć wytchnienie i na łonie przyrody, i na łonie kobiety. Bo wszak piekło i niebo to tylko teoretyczna alternatywa, a takie różne teorie, koncepcje i nadzieje nie mają smaku życia, jego czasem powabnej, lśniącej powierzchni, po której ludzie przesuwają się i głośno, i bezszelestnie. Po drodze poznania właśnie, gdyż „Po drodze jesteś dzieckiem, młodzieńcem, dojrzałym człowiekiem, starym człowiekiem” („Stare młode serce”). A to wszystko, aby „Cywilizacji system/ Po bitwie przegranej nie upadł” (Yeats, „Długonogi owad”).

Tadeusz Różewicz niczego nie odsłania, sugeruje tylko, że jeśli już myśleć o ludzkości, to tylko w kontekście człowieka bliskiego. Niekoniecznie najbliższego, może być też na przykład współtowarzysz z pociągu czy sąsiad w kinie. I chyba właśnie w filmie trochę odsłania, bo kamera lepiej artykułuje to jedyne co mamy – życie. Czysty przekaz życia na ekranie w układzie scenarzysty Tadeusza Różewicza. Czysty obraz przemijania. *Carpe diem...*

Grzegorz Sasin

Zmagania z batutą

Krzysztof Majerczyk

Międzynarodowa Akademia Dyrygentów to pionierska w Europie inicjatywa – owoc współpracy Radomskiej Orkiestry Kameralnej i brytyjskiej Fundacji Classic Concerts Trust. W tym roku adepci dyrygentury spotkali się po raz szósty. Pomimo że Akademii wyrosła już konkurencja w innych krajach, wciąż cieszy się powodzeniem i do Radomia z całego świata zjeżdżają chętni do poznawania tajników dyrygowania. Wieńczący tygodniowe warsztaty koncert finałowy wzbudził, jak co roku, zainteresowanie publiczności, bowiem był świetną okazją do posłuchania wartościowej muzyki, ale też do zastanowienia się nad sztuką dyrygowania.

Celem spotkań w ramach warsztatów jest przybliżenie początkującym dyrygentom zagadnień związanych z techniką dyrygowania. W zajęciach biorą udział studenci akademii muzycznych, a także profesjonalni muzycy, członkowie orkiestr, którzy chcieliby poszerzyć swoją wiedzę o elementy dyrygentury. Warsztaty w ramach akademii nie zastąpią dogłębnych studiów w tej dziedzinie. W tak krótkim czasie nie jest możliwe opanowanie skomplikowanych zagadnień kilkuletniego programu nauczania, ale, jak to często bywa, spotkanie z ekspertem może przynieść uczącemu się korzyści w postaci cennych uwag i korekt. Wśród dyrygentów panuje nawet opinia, że w ich dziedzinie nikogo nie można niczego nauczyć, ale można wiele pomóc.

Dyrygowanie nie jest łatwą profesją, o czym wiedzą doświadczeni wykładowcy Akademii i znakomici dyrygenci: Jonathan Brett z Wielkiej Brytanii oraz dobrze znany radomskiej publiczności Maciej Żółtowski, dyrektor Radomskiej Orkiestry Kameralnej. Nie każdy ma predyspozycje do wykonywania tego zawodu. Dyrygent – jak mówi Maciej Żółtowski – powinien być dobrym psychologiem, który oprócz rzetelnej znajomości literatury muzycznej oraz

opanowania specjalistycznej techniki manualnej (posługiwanie się gestem jako sposób komunikowania i wyrażania ekspresji w muzyce) musi też umieć zarządzać zespołem ludzkim tak, by rozwiązywać ewentualne konflikty (spory członków orkiestr z dyrygentem nie należą do rzadkości w świecie). Dopiero wtedy, przy współudziale członków orkiestry, można osiągać odpowiednie efekty muzyczne i realizować własne koncepcje artystyczne. Ważna jest też zdolność do samodzielnego doskonalenia techniki dyrygenckiej, którą żmudnie szlifuje się przez wiele lat.

W jakim stopniu na pomoc mogli liczyć uczestnicy radomskich warsztatów? Jak wspomniała Agnieszka Stanicka – kierownik biura koncertowego orkiestry i prowadząca finałowy koncert, pracowali ciężko z radomską orkiestrą pod czujnym okiem obydwu wykładowców. Wszyscy musieli się zmierzyć z niełatwym programem, który obejmował znane XIX-wieczne kompozycje, ale finałowa konfrontacja z radomską publicznością, która miała pewnie w pamięci inne wykonania prezentowanych utworów, wypadła pomyślnie. Podobały się zarówno niezwykle popularne Tańce węgierskie Brahmsa w opracowaniu na orkiestrę kameralną (posłuchaliśmy trzech z 21 tańców: nr 1, 17 i 6, Radomska Orkiestra Kameralna wykonała je pod batutą Kelvina Yinga ze Stanów Zjednoczonych), jak i Idylla na orkiestrę smyczkową Leoša Janáčka (z podium dyrygenckiego poprowadzili ją: w części 1, 2 i 3 Christian Hoerbov-Meier z Danii, w części 4 i 5 Robert Henley z Australii, w części 6 i 7 Ulrich Grubendorff z Niemiec). Także Introdukcja i rondo capriccioso a-moll na skrzypce i orkiestrę op. 28 Saint-Saënsa. W tym utworze, oprócz umiejętności dyrygentów, mogliśmy ocenić popis jednego z zaproszonych gości solistów – Błażeja Bębenca, uczeń klasy piątej w ogólnokształcącej szkole muzycznej II stopnia w Radomiu, laure-

at wielu konkursów i przesłuchań oraz uczestnik wielu warsztatów skrzypcowych wykonał partie solowe na skrzypcach. Dyrygował Klemens Strybrat z Polski.

Szczególny aplauz wywołał III Koncert fortepianowy c-moll op. 37 Beethovena (partię solową na fortepianie wykonał Marcin Kawczyński, absolwent Akademii Muzycznej w Łodzi, obecnie wykładowca i akompaniator Wydziału Wokalnego Akademii Muzycznej w Łodzi, a także nauczyciel w klasie fortepianu Zespołu Szkół Muzycznych w Radomiu). W tym utworze Radomska Orkiestra Kameralna zaprezentowała się pod batutą: Simonidy Dragovic z Serbii (cz. 1), Susannah Wapshott z Wielkiej Brytanii (cz. 2) i Kristin Groven-Holmboe z Norwegii (cz. 3).

Za rok następna edycja Międzynarodowej Akademii Dyrygentów w Radomiu. Ta cieka-

wa inicjatywa wciąż się rozwija. Pomysł świetnie dopełnia kalejdoskop dyrygentów, których mogliśmy podziwiać podczas sześciu sezonów artystycznych naszej orkiestry. Warto także wspomnieć o zaangażowaniu radomskiej orkiestry, która niezmiennie odnajduje w sobie radość odkrywania i wykonywania muzyki, pracuje z entuzjazmem, bez śladu rutyny. Również w aspekcie pedagogicznym.

Krzysztof Majerczyk

VI Międzynarodowa Akademia Dyrygentów
Warsztaty: 28 czerwca–4 lipca 2014 r.
Koncert finałowy: 5 lipca 2014 r., sala koncertowa im. Krzysztofa Pendereckiego w Zespole Szkół Muzycznych w Radomiu.

Homo varsoviensis

– Marek Nowakowski (1935–2014)

Łukasz Prus

Czy to wypada – pytam sam siebie – żebym ja, młody człowiek, urodzony pod koniec 1989 r., niemający osobistego doświadczenia rzeczywistości PRL-u, „Solidarności” i czasu przełomu zabierał się do opowiadania o pisarzu, który na pisaniu spędził 57 lat życia i dziś uchodzi za jednego z najważniejszych, być może najważniejszego kronikarza i świadka minionej epoki? Żebym pisał o Marku Nowakowskim, którego formacja duchowa i osobowość twórcza zostały – wydaje się, że w stopniu bardzo głębokim, co Nowakowski zresztą sam przyznawał pod koniec życia – określone przez charakter tamtego czasu, czyli drugiej połowy XX w., z którego ja przypominam sobie niewiele. Muszę też przyznać, że brak mi spotkania z aktualnością jego prozy; nie czytałem jego książek „na gorąco”, nie mogłem traktować ich jako głosu żywego protestu czy portretu mojego pokolenia, mojego świata; jego słowa – jak skóra do ciała – przylgnęły do rze-

czy, których nie widziałem, i ludzi, których nie znałem. A jednak biorę się do tego. Usprawiedliwiam się tym, że lektura jego książek była dla mnie, dorastającego, żyjącego w XXI w., jednym z najważniejszych doświadczeń – odkryciem i wstępem do świadomego zachowywania ciągłości, odkryciem nowego w starym i starego w nowym, w pewnym sensie odkryciem samego siebie.

Pewnego dnia, miałem wtedy bodaj 21 lat, wpadł mi w ręce zbiór opowiadań Marka Nowakowskiego pt. *Portret artysty z czasów dojrzałości*. Jego nazwisko było dla mnie zupełnie nowe, przecież w publicznej szkole nikt mi o nim nie mógł powiedzieć, ponieważ autor *Benka kwiaciara* nie został uwzględniony w podstawie programowej. Pamiętam, że siedziałem wtedy w wagonie gruchota Kolei Mazowieckich wiozącego mnie do Warszawy. Gdy pociąg minął ostatnie bloki Radomia, zacząłem czytać. I znalazłem się w zupełnie innym świe-

cie, zaludnionym przez drobnych złodziei, lumpów, farmazonistów, robotników, rzemieślników. Pociąg klekotał po torach, a ja nie mogłem się oderwać od książki, koło Piaseczna zacząłem dostrzegać autora – pisarza opowiadającego o tym całym półświatku, o peryferiach, ludziach spoza nawiasu, zmagającego się z inwigilacją i cenzurą w czasach PRL-u. Trochę się martwił, że nie ma w jego sztuce podniosłej epiki, metafizyki, eschatologii, tego wszystkiego, co stanowi o klasycznej wielkości artysty, ale też pocieszał się, że „to, o czym pisze, jest równie ważne. Jest jego mikrokosmosem”. Pisał prosto, krótkimi zdaniami, jego słowa były pojemne w treść, ale jednocześnie konkretne, działające na wyobraźnię. Nie zalewały, nie napierały nachalnie, a stopniowo zaczynały krążyć pod skórą, przenikać do myśli. Z poczuciem niedosytu zamknąłem książkę i wyrząłem przez okno, mój pociąg już zbliżał się do Dworca Centralnego. Byłem w Warszawie. Mieście zupełnie niepodobnym do tego, o którym czytałem w opowiadaniach Nowakowskiego. Zatlóczonym, zdyszanim, rozpędzonym. Skrojonym na miarę mojej rzeczywistości.

Bohaterowie Nowakowskiego żyli w powojennej stolicy. Drobny handel, złodziejskie skoki, dorywcze zarobkowanie, libacje, bijatyki, seks – wszystko działo się na gruzach, w ociałych, zatęchłych melinach, zniszczonych kamienicach, przedmiejskich zaułkach, w więzieniu lub już nieistniejących miejscach dawnej Warszawy. A właśnie tamta Warszawa fascynowała Nowakowskiego najbardziej. Pisarz doskonale znał jej historię, nawet historie poszczególnych kamienic i ulic, które poznawał w różnych okolicznościach.

Od wczesnej młodości – najpierw z grupkami drobnych złodziejasków, później już z młodymi twórcami skupionymi wokół „Współczesności”, peregrynował po mieście, przesiadywał w kawiarniach, barach, restauracjach, melinach, suterrenach, drobnych warsztatach zaprzyjaźnionych warszawiaków (często byłych akowców, powstańców, „chłopa-ków z lasu”), uczestniczył w libacjach odby-

wających się w mieszkaniach młodych pisarzy, podczas których dochodziło do pijackich ekscesów. Do ostatnich tygodni życia można go było spotkać w różnych zakątkach Warszawy. Na Saskiej Kępie, w okolicach placu Zbawiciela, gdzie znajdowała się jego ulubiona restauracja Corso, na Krakowskim Przedmieściu, gdzie na skwerze im. ks. Jana Twardowskiego, pomiędzy kościołem sióstr Wizytek i hotelem Bristol, przesiadywał na ławce w sztruksowej, wiszącej na nim marynarce i, paląc papierosa, spoglądał na pomnik Bolesława Prusa. Często zagadywał przechodniów, nie stronił od rozmów. Ironiczny i cierpliwy wobec mężczyzn, nieupozowany na znanego pisarza, szarmancki wobec kobiet, do swoich ostatnich dni obecny wśród ludzi, był Nowakowski ruchomym światem starej Warszawy.

Niedługo po pamiętnej podróży z *Portretem* sięgnąłem po inne książki pisarza: *Kto to zrobił?*, *Benka kwiaciara*, *Raport o stanie wojennym*, świetnego *Księcia nocy*, nostalgiczne *Powidoki*, najbardziej współczesny zbiór opowiadań *Homo Polonicus*, a także dzieła autobiograficzne, stanowiące swoisty odautorski komentarz do jego twórczości, w których odsłonił wiele wątków życia osobistego, czyli *Pióro. Autobiografia literacka* oraz ukończony na kilka tygodni przed śmiercią *Dziennik podróży w przeszłość*.

Najbardziej interesujące w postaci Marka Nowakowskiego wydaje się to, że żądło heglowskie, którym został dotknięty w młodości, zostało wyrwane z jego duszy przez ludzi ze społecznego marginesu. Pisarz wyznaje w swojej ostatniej książce, że z zaczadzenia komunizmem, gdy był przewodniczącym zakładowego zarządu ZMP w PLL LOT na warszawskim Okęciu, wyleczyło go właśnie towarzystwo przestępców oraz pobyt w więzieniu. Świat ten stał się później impulsem do pisania pierwszych utworów. Jego debiutanckie opowiadanie „Kwadratowy” wydrukowane w 1957 r. w „Nowej Kulturze” to portret kogoś, z kim Nowakowski zetknął się podczas pobytu w warszawskiej „Gęsiówce”, czyli więzieniu na Mu-

ranowie, gdzie trafił za udział w kradzieży, co później „wygrzebał z pamięci”, i z czego „zdał sprawę jak przed konfesjonatem” w *Dzienniku*. Kryminał uchronił go więc przed komunizmem, kryminał obudził w nim pisarza. A także wrodzona, instynktowna potrzeba niezależności, którą odczuwał przez całe życie, co – być może – było instynktownym wyrazem sprzeciwu pisarza wobec narzuconych przez historię form stabilizacji.

Nowakowski często powtarzał, że pisarstwo było dla niego zdobywaniem przestrzeni niezależności w świecie bezpowrotnie zniszczonym przez wojnę i wśród ludzi zmiażdżonych przez totalitaryzm, terror, nałogi, idiosynkrazje oraz konformizm. Zdobyciem autentyczności, za którą musiał płacić i płacił wysoką cenę. O sobie i o swoim pokoleniu napisał w *Dzienniku*: „Próbując odtworzyć tamten czas, widzę wyraźnie, jak bardzo my wszyscy z roku akademickiego 1953/1954 byliśmy zdeformowani, psychicznie okaleczeni, poddani nieustannej presji. Można nas nazwać pokoleniem niewoli. Jako malcy zazналиśmy okupacji niemieckiej i widoków wszelkiego okrucieństwa. Zaraz po klęsce Niemców dostaliśmy się w kleszcze sowieckiej obróbki. Trochę od pokolenia rodzi-

ców wiedzieliśmy o innej Polsce. Ale niepodległość, wolność, prawda to były dla nas mity w rozmaity sposób wyobrażone. Prawdziwej wolności nie znaleźliśmy przecież [...]. Nasz świat od Zachodu dzielił mur nazywany żelazną kurtyną. Mieliśmy niewolę we krwi. Wiedzieliśmy, że nad wszystkim czuwa władza i ona decyduje, co wolno, a czego nie. Taki porządek został ustanowiony”.

A zło tamtego porządku miało w ujęciu pisarza charakter totalny, przenikało wszystkie obszary życia, nie ominęło i jego samego, o czym Nowakowski pisze w ostatnich, konfesyjnych zdaniach *Dziennika*: „Dopiero po wielu latach doszedłem do przekonania, jak bardzo jednak byłem przez tamten czas zdewastowany. Zniewolenie wdarło się w umysł, zatruto wyobraźnię, niewidzialne cugle trzymały mnie na uwięzi i choć widziałem zło i czułem jego skutki, nie zdołałem tego, co pisałem, wypiętrzyć, unieść wysoko, jak marzyłem i przez to uczynić doskonalszym, trwalszym, bardziej porażającym. Grzęzłem tak często, zapadałem się głęboko. To były koszty. Już do końca nie dam rady. Szkoda”.

Łukasz Prus

Anna Duda

Barbara Pikiewicz

Wielka szkoda – zgodnie reagują wszyscy na wiadomość, że red. Anna Duda nie żyje. Zmarła w piątek, 13 czerwca 2014 r. Została pochowana w rodzinnym grobie na cmentarzu rzymskokatolickim przy ul. Limanowskiego w Radomiu.

Jak w kilku akapitach zawrzeć piękne, niekrótkie życie osoby niespotykanej skromnej, zawsze pozostającej w cieniu? Urodziła się w 1927 r. w Radomiu, w rodzinie Tekli z Klimczyków i Jakuba Skuty, przybyłych tutaj z rejonów Małopolski ze skierowaniem do pracy w nowo powstającej Fabryce Broni. W Rado-

miu uczęszczała do szkoły powszechnej przy dzisiejszej ul. Grzecznarowskiego, gdzie obecnie mieści się Liceum Plastyczne. W tym mieście przeżyła koszmar wojny i okupacji, cudem ocalona przed wywózką do Niemiec na roboty i od rozstania z rodzicami i ukochaną siostrą Ireną.

Naukę w szkole średniej rozpoczynała w okresie tajnego nauczania. Maturę zdała w roku szkolnym 1946/1947 w III Państwowym Gimnazjum i Liceum Żeńskim, tzw. pierwszej państwówce. Podjęła studia na Wydziale Dziennikarskim Wyższej Szkoły Nauk Społecz-

nych w Krakowie. Po ich ukończeniu w 1951 r. skierowała kroki do ówczesnej siedziby jedynej gazety w mieście – „Życia Radomskiego” przy ul. Żeromskiego 44. Kierownik redakcji, red. Igor Dębowski, podobno dość szorstko przyjął w rozmowie kandydatkę na redaktorkę. Nieco zniechęcona, jednak została i na długie lata związała się z najpoczytniejszym tytułem prasowym w Radomiu i regionie, sama zresztą tworząc świetność jednej z dwóch terenowych mutacji „Życia Warszawy”.

Przez 40 lat pracy w jednym miejscu i jedynej redakcji pełniła wszystkie funkcje w hierarchii dziennikarskiej, od reporterki po p.o. kierownika redakcji i najdłużej – jej sekretarza. Niewtajemniczonym w arkany dziennikarskiej profesji i pracy redakcyjnej wypada uświadomić, że osoba na tym stanowisku należy do ścisłego kierownictwa zespołu, inicjuje tematy, gromadzi, ocenia i przygotowuje do druku teksty. Również komponuje plan każdego wydania, sprawuje nadzór nad produkcją techniczno-drukarską. Tylko tyle i aż tyle. Potrzeba nie lada predyspozycji, chociażby wycucia ważności tematu, wytrwałości i benedyktyńskiej skrupulatności, umiejętności kontaktów międzyludzkich, by sprostać zadaniu. Red. Anna Duda była jeszcze obdarzona niekwestionowanym talentem dziennikarskim. W natłoku obowiązków sekretarza redakcji i ślęczenia nad cudzymi tekstami przez wszystkie lata pracy – jak się dawniej mówiło – ostro operowała piórem. Posługiwała się wymyślonym, ot tak sobie, bez żadnych aluzji i podtekstów pseudonimem Anna Nowacka lub w skrócie literką „n”. A najchętniej pisała o służbie zdrowia, kulturze, o wszystkim, co dobrze służyło człowiekowi. Pokazała na łamach gazety setki wspnianych ludzi, jednocześnie dawała wyraz swojemu krytycyzmowi wobec tego, co źle służyło miastu i mieszkańcom. Kolejne pokolenia studentów dziennikarstwa i adeptów zawodu uczyła u boku męża, red. Bronisława Dudy, rzetelności, wrażliwości, odpowiedzialności za słowo, tolerancji, uczciwości wobec rozmówców i czytelników, sama dając wyraz tym war-

tościom. Wspierała cenne inicjatywy obywatelskie, angażując się w członkostwo ważnych, dziś już nieistniejących stowarzyszeń i organizacji – Klubu Literackiego, Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, Narodowego Funduszu Zdrowia. Takim dziennikarstwem zjednała sobie rzesze przyjaciół. Odnaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1987 r.) i wielce prestiżową swego czasu Nagrodą II stopnia Funduszu Kultury i Nauki im. Jana Kochanowskiego (1981 r.).

W 1991 r. po przeszło 40 latach nieprzerwanej pracy przeszła na emeryturę. Była codziennym, oczekiwanym gościem redakcji „Życia Radomskiego”. Właściwie starszą koleżanką. Zaczynała od krótkiego pytania: co słychać? Z czego rodziły się wśród dziennikarzyżywione dyskusje i pomysły na teksty. Wolny czas i lukę po aktywnej pracy redakcyjnej wypełniła też działalnością społeczną: w Fundacji Otwartych Serc przy Domu Pomocy Społecznej im. św. Kazimierza oraz w Społecznym Komitecie Ochrony Zabytkowego Cmentarza Rzymskokatolickiego przy ul. Limanowskiego. Była przez wiele lat wiceprzewodniczącą i jednocześnie przewodniczącą sekcji wydawniczej, skupiając wokół siebie znaczne grono regionalistów, które zrealizowało ambitny plan 5-częściowej publikacji na temat historii najstarszej radomskiej nekropolii. Opracowała biogramy ponad 150 radomian spoczywających na tym cmentarzu, czasem całkowicie zapomnianych. Na przykład Władysława Regenta, przedwojennego właściciela najważniejszego rangą sklepu z galanterią i odzieżą męską w Radomiu. Zero źródeł archiwalnych, ileż pracy, dziennikarskiej dociekliwości, trudu wymagało zdobycie potrzebnych do publikacji informacji.

Bodaj najstynniejsza wydobyta przez red. Annę Dudę z całkowitego zapomnienia postać to inż. Kazimierz Ołdakowski, ostatni przed wojną dyrektor Fabryki Broni. Oczami kilkuletniego dziecka zapamiętała go jako bardzo ważną postać dla rodzin pracowniczych i historii miasta, czego współcześnie mało kto miał świadomość. Konsekwentna, trwająca kilka

miesiący penetracja wszelkich dostępnych materiałów i korespondencja z rozszanymi po Polsce i świecie nielicznymi już świadkami przedwojennej świetności zakładu doprowadziły do przypomnienia tej postaci, a nade wszystko do stworzenia ostatnich tragicznych tygodni życia dyrektora i upamiętnienia go poprzez nadanie imienia Kazimierza Ołdakowskiego skwerkowi w pobliżu dawnej fabrycznej dzielnicy. Sama zaś zainicjowała i w całości sfinansowała wykonanie pamiątkowej tablicy, której odsłonięcie na frontonie tzw. budynku dyrektorskiego przy ul. Dowkontta 2 odbyło się 10 listopada 2006 r. W efekcie dziennikarskiego dochodzenia, bardziej przygody, odnalazła w Stanach Zjednoczonych najbliższą rodzinę dyrektora K. Ołdakowskiego – urodzoną w Radomiu córkę Zofię, dziś już nieżyjącą, oraz dwoje wnuków, Felicity Yost Oldakowski i Paula Bevilaqua. Obydwoje odwiedzają nasze miasto, Felicity szczyt się już polskim obywatelstwem.

Anna Duda zawsze pisała, nie tylko teksty do gazety. Postacią dyrektora i wspomnieniami z dzieciństwa inspirowane było opowiadanie „Moje podwórko” napisane na konkurs z okazji XVII Radomskiej Wiosny Literackiej w 1994 r., za które otrzymała II nagrodę Prezydenta Radomia. Uznanie jury pod kierunkiem prof. Romana Lotha zdobył plastycznie przez nią przywołany rytm życia na osiedlu Fabryki Broni. Ciepły, autentyczny tekst z miłymi sercu obrazkami wskrzesił wspomnienia Radomia, jaki pamięta już niewielu mieszkańców. Dla młodego pokolenia – lekcja historii, której nie znajdzie się w żadnym podręczniku wiedzy o mieście.

Druga publikacja książkowa, którą warto przywołać, dotyczy Jerzego Szymkowicza-Gombrowicza i jest zapisem wspomnień o tej barwnej postaci autorstwa Dominiki Świątkowskiej. Jerzy – brat Witolda, w latach 50. i 60. XX w. kierownik literacki „Życia Radomskiego” i recenzent wydarzeń kulturalnych w mieście, był dla młodej wówczas reporterki postacią niezwykłą, czasem nieco anegdotyczną. Z właściwą sobie swadą red. Anna Duda opowiadała w nagrany wywiadzie autorce książki *A to*

Gombrowicz właśnie o nietuzinkowym człowieku i jego rozszanej po świecie rodzinie. Powstał autentyczny portret świadka dwóch jakże odmiennych epok, bez wątpienia bardzo cenny materiał dokumentalny. Mieli zresztą wiele wspólnych cech, w tym na pewno inteligentny dowcip, ciekawość ludzi i świata w jak najlepszym tego słowa znaczeniu.

Anna Duda – osoba o wyjątkowej urodzie życia i bycia. Niezwykle życzliwa, potrafiąca służyć innym, dobrze znana i powszechnie szanowana. Nowoczesna i doskonale rozumiejąca współczesny świat, choć należała do pokolenia z innej bajki. Z krajobrazu miasta zniknęła elegancka, nobliwa Pani, dama nie tylko dziennikarstwa. Odszedł ktoś ważny, kto wniósł twórczy wkład w powojenne losy Radomia, z ogromną pasją dokumentując piórem na łamach codziennej gazety najważniejsze wydarzenia z blisko półwiecza.

Dziękuję Aniu za 34 lata wspianiałej przyjaźni. Taka przyjaźń nie zdarzyła mi się wcześniej i raczej już się nie zdarzy...

Barbara Pikiewicz



Dziękuję wszystkim w Radomiu, Krakowie i różnych innych miejscach w Polsce, którzy na wiadomość o poparzeniu Karoliny oddali z myślą o niej krew czy organizowali oddawanie krwi wśród swoich znajomych. Karolina umarła 25 sierpnia, po czterech tygodniach walki o życie w szpitalu w Gryficach. Dziękuję za słowa współczucia i wsparcia dla nas, dla Mateusza i dla Wojtka. Wyraźnie odczuliśmy, że mamy wokół siebie wielu bliskich, gotowych do pomocy ludzi.

Stanisław Zbigniew Kamieński

Inny obraz

Jerzy Kutkowski

Zdrogi ekspresowej Radom–Warszawa za Jedlińskim trzeba skrócić w lewo i jesteśmy w Błotnicy, w której znajduje się „obraz łaskami słynący”. Jak ten wizerunek Matki Boskiej z Dzieciątkiem namalowany na lipowej desce trafił do Błotnicy? Legenda mówi, że został wyorany na polu w pobliskiej wsi Ryki i przekazany parafii przez właścicielkę wsi. Już prymas Jan Łaski w *Liber beneficiorum archidiecezyi gnieźnieńskiej* spisywanym w latach 1511–1523 wspomina o tym cudownym obrazie Maryi Panny. Po potopie szwedzkim przemalowano go w 1660 r. Przed umieszczeniem w głównym ołtarzu nałożono na obraz srebrną sukienkę. Od niepamiętnych czasów słynie z cudów. Do Błotnicy spieszyły rzesze pielgrzymów z różnych regionów Polski, a nawet z Czech. W inwentarzu kościoła z 1700 r. wymienionych było już 630 wotów, które składano jako dowód wdzięczności. Uzdrawienia doznał m.in. urodzony w pobliskiej Jedlance bp Józef Andrzej Załuski. Wiele przykładów cudownych zdarzeń pochodzi z okresu II wojny światowej. Socjalistyczna rzeczywistość jeszcze wzmogła ruch pielgrzymkowy. W 1963 r. bp Jan Kanty Lorek ustanowił w Błotnicy sanktuarium maryjne diecezji sandomierskiej. Częstym gościem w Błotnicy był, pochodzący z pobliskiego Jedlińska, bp Piotr Gołębiowski. Myślał o koronacji obrazu, uzyskał na to zezwolenie papieża Pawła VI, ale obraz trzeba było na tę uroczystość odnowić, gdyż był bardzo zniszczony, wielokrotnie po amatorsku przemalowywany, zjedzony przez korniki. Konserwacji podjął się profesor Karol Dąbrowski z Warszawy. Długo to trwało, zdejmowano ostrożnie kolejne warstwy przemalowań, tatano ubytki, usuwano robaki. Po renowacji obraz bardzo się zmienił. Pozbawiony blaszanej sukienki odzyskał blask. Kiedy zobaczył go bp Gołębiowski, wzroku nie mógł oderwać. „Jaka cudna” – wy-

szeptał. Na obrazie w lewym dolnym rogu pojawiła się trzecia postać, wcześniej przykryta sukienką. Jedni mówili „wąsaty szlachcic”, inni „Szwed”. Był to zapewne portret fundatora prac konserwatorskich prowadzonych przy obrazie w 1660 r. Obraz na powrót umieszczono w głównym ołtarzu. Biskup był szczęśliwy, ale ludzie z Błotnicy, mający na ścianach fotograficzne reprodukcje wizerunku swej Matki, zaczęli porównywać go z odnowionym obrazem i nic się nie zgadzało – ani twarz, ani Dzieciątko, a jeszcze ten typ w rogu. Zaczęto szeptać po kątach: „Proboszcz sprzedał naszą Matkę Boską i chce wstawić do ołtarza inną, gorszą”.



■ Poczтівка od SB z obrazem przed konserwacją

fot. J. Kutkowski

Na ratunek wezwano historyka sztuki ks. Stanisława Makarewicza z Radomia, który całą niedzielę przed koronacją na każdej mszy opowiadał o obrazie, jego konserwacji, jego wartości i pięknie. Nastroje w parafii trochę się uspokoiły, ale wątpliwości nie zniknęły, o czym jakiś miejscowy gorliwy donosiciel nie omieszczał poinformować Służby Bezpieczeństwa. Władza ludowa postanowiła skorzystać z okazji, aby podobnie jak wcześniej w Wierzbicy skłócić parafię, zbuntować przeciw proboszczowi. Było mało czasu, na dodatek na dwa dni przed koronacją zaczęła się straszna ulewa. Wieczorem przed uroczystością 20 sierpnia 1977 r. odprawiano pasterkę, było już bardzo dużo pielgrzymów i wtedy z tłumu kilka osób zaczęło krzyżeć: „Nie ta!”, „Złodzieje” i kilka razy: „Nie nasza Matka Boska”. Wielu przyjeźdźnych nie wiedziało, o co chodzi, nikt nie zareagował. Prowokatorzy stracili rezon i rozplynęli się w tłumie. Po dwóch dniach ulewy wyszło słońce. Koronacji miał dokonać kardynał Wyszyński, ale zachorował na gripę i zastąpił go kardynał Wojtyła. W czasie homilii mówił: „Już wczoraj, kiedyśmy podążali do Radomia, mijaliśmy na drodze warszawskiej pielgrzymki. Szły z różnych stron, a dzisiaj trudno było tutaj dojechać. Od Radomia długi ciąg samochodów. Polska, która się coraz bardziej motoryzuje, tymi nowoczesnymi środkami lokomocji podążała na miejsce koronacji Matki Bożej Pocieszenia. Jednakże nie zabrakło i koni, i wozów, nie zabrakło nade wszystko pieszych – jakieś niezwykle rzec by można pospolite ruszenie dusz, bo nadszedł dzień, na który czekało tyle pokoleń. I chyba szczególnie potrzebna jest ta koronacja Matki Bożej Pocieszenia na tym miejscu, na tej ziemi radomskiej, która jak wszyscy dobrze wiedzą, była w ostatnim roku ziemią szczególnego smutku. Ten smutek ziemi radomskiej, miasta Radomia, był udziałem całego społeczeństwa, całego Kościoła w Polsce. Episkopat, który czuje z narodem, a czuje zwłaszcza tam, gdzie jest cierpienie i smutek, zwracał się od początku do władz o zrozumienie motywów, o amnestię dla więźniów, a gdy



■ Obraz po konserwacji

fot. J. Kutkowski

tak czynił, wówczas ten Polski Episkopat był wyrazicielem – był na służbie Matki Bożej Pocieszenia. Potrzeba pocieszać rodaków, a nie zasmucać i nie przygnębiać. Trzeba narodowi nadziei i radości życia, podniesionych głów, a nie spuszczonej do ziemi”.

To było rok po wydarzeniach radomskich, represjach i „ścieżkach zdrowia”. Na polach wokół kościoła zgromadziło się ponad 200 tys. ludzi stojących w błocie, ale nikt się nie skarżył. Jak Błotnica, to błotnica – żartowano. Ta manifestacja wiary i wolności rozwścieczyła władze. Nie udało się przed koronacją, więc zdwojono wysiłki po uroczystościach i powołano fikcyjną organizację: Komitet Odzyskania Cudownego Obrazu KOCO, która wysyłała ogromne ilości kart pocztowych z wizerunkiem Matki Boskiej Błotnickiej sprzed konserwacji, za kratami. Z drugiej strony tekst ręcznie pisany: „Oszukali was i Ojca Świętego. Popelnili świętokradztwo, odkładali termin koronowania mnie, gdyż szukali kupca. Zapytajcie dlaczego. Żądajcie wyjaśnień od biskupa.

Przyjmujecie Judasza z posługą Bożą, który mnie sprzedął. Przynosi do waszych domów fałsz i obłudę. A wy mu za to płaciecie. Żądacie od Judasza odczytania tego na ambonie". Pod tym pieczętka złożona z literek dla dzieci: Komitet Odzyskania Cudownego Obrazu. Próbowano skłócić (wzorem Wierzbicy) wikarego z proboszczem. Oni też dostawali dzięsiaćki kartek i listów. Do „Gazety Wyborczej” w Radomiu w 2010 r. zgłosił się jeden z funkcjonariuszy wydziału IV SB, który z zawiści do byłego przełożonego opowiadał o tej robocie: „Wysyłaliśmy do aktywu kościelnego i do osób niezadowolonych z tego nowego obrazu. Pisał tam, że ten obraz sprzedano, że podmieńciono. Widziałem nawet rachunek za druk tych pocztówek. Za wszystko zapłaciła oczywiście firma. Mało tego, jeszcze w nocy nasi jeździli tam i na szosie różne napisy robili”. Na asfalcie przed Błotnicą i na murach domów malowano nocą napisy szkalujące proboszcza. Potem przysyłano mu paczki z szubienicą. Powołano też inną organizację – Samoobronę Wiary. Jeszcze w następnym roku podrzucano jej powielaczowe gazetki, w których na wstępie krytykowano postanowienia Drugiego Soboru Watykańskiego, m.in. tak: „Jak brutalnie pousuwano przepiękne ołtarze! Dziś kapłan przy ołtarzu zwanym soborowym wygląda, jak kramarz przy stoisku podczas wiejskiego odpustu, a zasmakany ministrant, czy niechlujny kościelny, chwyta za kielich, monstrancję, ku wielkiemu zgorszeniu wiernych”. Potem było o Błotnicy: „[...] w roku ubiegłym z Sanktuarium w Błotnicy usunięto obraz Matki Boskiej Pocieszenia cudami słynącej i w Jego miejsce wstawiono inny obraz. Nie wiemy jakie racje kierowały postępowaniem Ordynariusza sandomierskiego i Księdza Proboszcza z Błotnicy, że posunęli się do takiego kroku, gdyż obaj na ten temat zachowują milczenie. Faktem jednak jest i pozostanie, że szarganie uczuciami, przywiązywaniem do tradycji wiernych i brak poszanowania do rzeczy świętych nie przynosi chwały ani zaszczytu tym kapłanom, którzy zrujnowali przepiękne Sanktuarium. Takie postępowanie

nie może być przemilczane, musi być napiętnowane ku przestrodze im podobnych... Lud parafii błotnickiej, od roku pogrążony w żałobie, daremnie leje łzy i domaga się zwrotu odebranej Mu cudownej Świętości, relikwii ziemi radomskiej. Słyszemy, że cudowny obraz... ponoć za wiedzą i zgodą Ordynariusza sandomierskiego został sprzedany... Gdzie, komu i po co sprzedano lub oddano cudowny obraz z Błotnicy – oto pytania, na które winni muszą kiedyś wreszcie odpowiedzieć przed ludem błotnickim, gdyż przed Bogiem na pewno odpowiedzą za swe czyny”.

Mimo wysiłków ludowej władzy prowokacja się nie powiodła. Tylko proboszcz, nieżyjący już ks. Józef Gałan popadł w apatię, unikał ludzi, z nikim o tym nie rozmawiał, nigdy nie wspominał na kazaniu, rzadko opuszczał mieszkanie, nigdzie nie chodził. Podejrzewał, że stoją za tym nieżyczliwi parafianie i nie mógł się z tym pogodzić. A może tak jak ks. Romana Kotlarza odwiedzali go wieczorami smutni panowie?

Ostatnio odnaleziono w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej trzy tomy akt związanych z działaniami Służby Bezpieczeństwa w Błotnicy. Dużo materiału. Może ktoś książkę napisze.

Korzystałem z artykułu Małgorzaty Rusek „Nie ta Matka Boska” zamieszczonego w lokalnej „Gazecie Wyborczej” nr 195 z dnia 21.08.2010 r.

Jerzy Kutkowski
18 lipca 2014 r.

KRONIKA czerwiec – lipiec 2014

Czarnolas

21.06.2014. Tradycyjne Czarnoleskie Spotkania Sobótkowe odbyły się w Muzeum Jana Kochanowskiego. Była to już 23. edycja tej imprezy.

Iłża

27.06.2014. W Miejsko-Gminnej Bibliotece Publicznej odbyła się promocja książki *Kapliczki, figur i krzyże przydrożne gminy Iłża* autorstwa Łukasza Babuli.

20.07.2014. Po raz 20. zorganizowano festiwal folklorystyczny im. Józefa Myski. Odbyły się 53 prezentacje, przez scenę przewinęło ponad 500 artystów ludowych – solistów, członków zespołów i kapel ludowych.

Kozienice

19.07.2014. W Muzeum Regionalnym otwarto wystawę „Malarstwo Karoliny Chorążkiej-Paluch”.

Orońsko

28.06.2014. W Centrum Rzeźby Polskiej otwarto trzy nowe wystawy. W galerii Kaplica pokazana została wystawa Józefa Gosławskiego „Sacrum i pieniądze”, w galerii Oranżeria zaprezentowano „Rzeźbę” Włodzimierza Ciesielskiego, a w Muzeum Rzeźby Współczesnej odbył się wernisaż wystawy „Jan Szczepkowski (1878–1964). Wystawa jubileuszowa w 50. rocznicę śmierci Artysty”.

Przysucha

8.06.2014. Uroczyste obchodzono 55. Dni Kolbergowskie. Jednym z punktów tegorocznych obchodów było odsłonięcie pomnika-ławeczki Oskara Kolberga.

Radom

2–6.06.2014. Centralna Rada Romów w Polsce zorganizowała doroczny Tydzień Kultury Romskiej. Pokazy filmów, koncerty i spektakle teatralne odbywały się w „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii.

4.06.2014. Muzeum Sztuki Współczesnej uczciło 25 lat wolnej Polski wystawą „Sztuka w Polsce około 1989 roku”. Pokazano na niej obrazy, rzeźby, rysunki pochodzące z kolekcji tej placówki.

6.06.2014. W Galerii Akademickiej „Rogatka” otwarto wystawę Urszuli Ślusarczyk z Kielc zatytułowaną „Przenikanie”.

6–8.06.2014. Dom Kultury „Idalin” po raz 27 zorganizował Ogólnopolski Konkurs Modeli Kartonowych i Plastikowych.

11.06.2014. W „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii odbył się wieczór historyczny „Wołyń 1943. Pamięć i pojednanie” z udziałem Ewy Siemaszko i ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego. Organizatorem spotkania było Bractwo Kurkowe im. św. Sebastiana.

13.06.2014. W „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarto wystawę prac Leszka Kwiatkowskiego zorganizowaną z okazji jubileuszu 40-lecia pracy twórczej.

13.06.2014. Wieczorem na Muzycznych Fontannach wystąpił zespół akordeonowy Humi Accordion Band oraz uczniowie z PSP nr 1 i przedszkola nr 15.

13–15.06.2014. Stowarzyszenie Osób Internowanych i Represjonowanych w Stanie Wojennym Region Radomski po raz drugi zorganizowało Festiwal Filmowy „Czerwiec ’76”. Pokazy odbywały się w „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii.

16.06.2014. W „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii odbył się koncert Grażyny Łobaszewskiej z zespołem.

16.06.2014. W Muzeum Wsi Radomskiej (Spichlerz z Wilkowa) zorganizowano wernisaż wystawy „Nagroda im. Oskara Kolberga Za zasługi dla kultury ludowej. Laureaci regionu radomskiego”.

18.06.2014. „Łażnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria zaprosiła na otwarcie wystawy fotografii ks. Arkadiusza Bieńka „Podróże dalsze i bliższe”.

19.06.2014. W Muzeum Wsi Radomskiej odbyły się uroczystości Bożego Ciała „Wierzę w Syna Bożego” zorganizowane pod patronatem biskupa diecezji radomskiej Henryka Tomasika.

20.06.2014. Akordeonowa uczta z big-bandem Mundana w Zespole Szkół Muzycznych. W programie koncertu znalazły się bałkańskie, latynoamerykańskie i francuskie dźwięki. Akordeoniści – Artur Miedziński i Michał Kraska, którzy wystąpili z big bandem, zabrali nas w świat tanga i jazzu.

Był to trzeci koncert „Radomscy muzycy z big-bandem Mundana”. Cykl jest okazją do zaprezentowania szerszej publiczności znakomitych muzyków związanych z Radomiem.

21–22.06.2014. OKiS „Resursa Obywatelska” po raz kolejny był organizatorem dorocznego nocnego zwiedzania miasta „Anima urbis – dusza miasta”.

24.06.2014. „Łaźnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria zaprosił na spotkanie z kulturą Azerbejdżanu.

25.06.2014. Pod pomnikiem wydarzeń Radomskiego Czerwca oraz w Teatrze Powszechnym odbyły się uroczystości obchodów 38. rocznicy protestu robotniczego w naszym mieście.

27.06.2014. W „Łaźni” odbyła się promocja wydawnictwa *Juliusz Narzyński z Warszawy, z Łodzi*, towarzyszącego piątej edycji wystawy z cyklu „Mistrz i uczniowie”.

29.06.2014. W Muzeum im. Jacka Malczewskiego otwarta została wystawa „Jacek Malczewski”, zorganizowana w związku ze 160. rocznicą urodzin i 85. rocznicą śmierci Jacka Malczewskiego.

11.07.2014. PROLOG – wystawa pod takim tytułem, na której zaprezentowane zostały wybrane tegoroczne dyplomy licencjackie i magisterskie zrealizowane pod kierunkiem prof. Aleksandra Olszewskiego i dr. Mariusza A. Dańskiego na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego im. K. Pułaskiego w Radomiu, została otwarta w „Łaźni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii. Na ekspozycji pokazano prace z zakresu grafiki cyfrowej i multimedialnych.

24.07.2014. „Łaźnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria zaprosiła na spotkanie z kulturą Hiszpanii. Gwiazdą wieczoru był Quatuor Europa – kwartet smyczkowy z prowincji Nawarra.

25.07.2014. W siedzibie „Łaźni” przy ul. Żeromskiego otwarta została wystawa prac studentów Pracowni grafiki warsztatowej Katedry Projektowania i Grafiki Wydziału Sztuki UTH w Radomiu.

Solec nad Wisłą

24–27.07.2014. Stowarzyszenie Przyjaciół Solca nad Wisłą po raz dziewiąty zorganizowało Festiwal Muzyki Klasycznej. Koncerty odbywały się na obydwu brzegach Wisły, w klasztorze w Solcu i w kościele w Piotrowinie. Wystąpili Ameliar Quartet, Dominika Surzyn – harfa i Alicja Matuszczyk – obój, Rafał Grząska – akordeon, zespół muzyki dawnej Gardus and Parnassum, Duo in Re: Anja Engelberg – wiola da gamba i Premek Hajek – terban, gitara barokowa i chór gregoriański Clamaverunt lusti.

Wsola

13–14.06.2014. Kolejny piknik artystyczny „Apetyt na Gombrowicza” zorganizowało Muzeum Witolda Gombrowicza. W ramach imprezy odbyły się koncerty: Natalii Przybysz, Natalii Sikory oraz Piotra Bukartyka i Szałdybałtów, warsztaty plastyczne dla dzieci, monodram „Na kuchennych schodach”.

Zwoleń

20.06.2014. 35. Imieniny Pana Jana rozpoczęły się w Zwoleń. W Domu Kultury odbył się wernisaż wystawy fotograficznej „XXXV Imieniny Pana Jana – wspomnienia”, potem były koncerty i spektakle w wykonaniu lokalnych artystów. Gwiazdą wieczoru był zespół Czerwony Tulipan. Impreza zakończyła się 22 czerwca korowodem i składaniem kwiatów pod pomnikiem Jana Kochanowskiego oraz wręczeniem nagród w ogłoszonych z tej okazji konkursach. Wieczorem wystąpił Szymon Wydra i Carpe Diem.

MIESIĘCZNIK PROWINCJONALNY

- kup • przeczytaj •
- poleć innym •



INFRASTRUKTURA
I ŚRODOWISKO
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

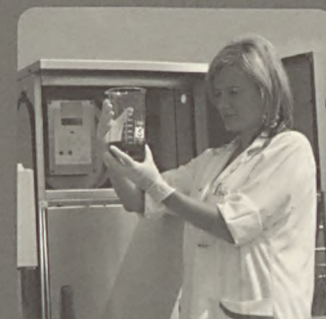


wodociąg
miejskie

UNIA EUROPEJSKA
FUNDUSZ SPÓJNOŚCI



WODOCIĄGI MIEJSKIE W RADOMIU > źródło czystej wody



WODOCIĄGI MIEJSKIE W RADOMIU REALIZUJĄ PROJEKT
„MODERNIZACJA I ROZBUDOWA GOSPODARKI WODNO - ŚCIEKOWEJ
NA TERENIE AGLOMERACJI RADOM – ETAP II”

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Funduszu Spójności w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko



dostarcza

CIEPŁOSYSTEMOWE



CODZIENNA PRZYJEMNOŚĆ CIEPŁA

www.radpec.com.pl

www.cieplosystemowe.pl